6 stron z dodatkiem „ŻYCIE KRAJU“

HENRYK RZEWUSKI
PAMIĄTKI IMCI PANA SEWERYNA SOPLICY
CZEŚNIKA PARNAWSKIEGO
Cena 15/- (plus 6 d. za przesyłkę).
Stron 292. Oprawa płócienna. Obwoluta.
Na zamówienie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS“
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

ROK IX. Nr. 11 (403)

LONDYN, 13 MARCA 1955 R.

„SACRUM POLONIAE MILLENIUM“

Przed kilkunastu dniami przyszła z Rzymu na stół redakcyjny niezwykła książka. Ponieważ nie ma pod ręką miar i wag używanych w Polsce, określić ją musimy w calach i funtach angielskich. Format książki wynosi 8×11¼ inczów, waga 4 funty. Takich olbrzymich rozmiarów tomy są zwykle zbiorami dokumentów politycznych, dyplomatycznych czy prawnych. Tak się wydaje wolumina przeznaczone dla studiów naukowych w rodzaju „Monumenta Poloniae Historica“, „Volumina Legum“ itp.

Tom nosi tytuł „Sacrum Poloniae Millenium“. A więc to już? Za jedenaście lat Polska i świat chrześcijański będą obchodzić rocznicę Chrztu Polski. Wiara katolicka dotarła na nasze ziemie wcześniej i w świetle dzisiejszych badań historycznych zdaje się nie ulegać wątpliwości, że kraj Wiślan ze stolicą Krakowem był częścią państwa wielkomorawskiego od roku 870 i jedną z prowincyj kościelnych obrządku słowiańskiego już od roku 880. Znane jest nawet nazwisko biskupa Prohora, osadzonego przez św. Metodego na stolicy biskupiej w Krakowie. Być może, że obrządek słowiański sięgał na ziemiach polskich dalej i wielce prawdopodobne, że poza Krakowem istniały jeszcze dwa biskupstwa słowiańskie w Polsce, jedno z nich w Sandomierzu.

Jako państwo przyjęła jednak cała Polska chrzest poprzez swego księcia Mieszka bezspornie w roku 966.

Tysiącletni okres dziejów chrześcijańskiej i katolickiej Polski — pisze w słowie wstępnym do „Sacrum Poloniae Millenium“ Ks. Arcybiskup Józef Gawlina — dobiega do końca, okres ścisłego związania się i współżycia Narodu z Kościołem.

„Na dziejach Polski wycisnął ten związek szczególniejsze i głębokie znamię, ale i dla losów Kościoła nie był on bez wpływu.

„W ciągu tych dziesięciu wieków współżycia nie brakło chwilowych tarć, zadrażnień, sporów, ale nie było nigdy walki.

„Położona w Europie między wrogim Kościołowi Wschodem i buntującymi się w dużej części Zachodem i Północą Polska na rozdrożu, mimo chwilowych wahań, dochowała Kościołowi wierności, pozostała semper fidelis.“

Przed kilku laty zrodziła się myśl, poparta przez najwyższe czynniki kościelne w Polsce, aby w ciągu lat pozostających jeszcze do wypełnienia millenium podjąć wszechstronne prace naukowe dla dokonania rozrachunku między tym, co Kościół w ciągu minionego tysiąclecia dał Polsce, a co Polska dała Kościołowi.

W Kraju pojawiło się sporo wielkiej wagi publikacji, oświetlających świt naszych dziejów, ale nie ma tam, niestety, możności podjęcia prac o tysiącletnich związkach Polski z Kościołem. Zadanie to spada na emigrację. W Rzymie powstał Komitet p.n. „Sacrum Poloniae Millenium“ — z Ks. Arcybiskupem Gawliną jako przewodniczącym i O. Prof. Edmundem Elterem T.J. jako sekretarzem — i przystąpił do wydania monumentalnej serii prac naukowych, której tom pierwszy, liczący stron 632, leży właśnie przed nami. „Sacrum Poloniae Millenium“ ma objąć w szeregu tomów (roczników) publikacje historycznych rozpraw, szkiców i materiałów, które będą się mogły przyczynić do pełniejszego naświetlenia w ostatnim jubileuszowym tomie ogólnej historycznej syntezy wzajemnego stosunku Polski i Kościoła w ciągu tysiąclecia.

Pomnikowe wydawnictwo, drukowane w zakładach graficznych Papieskiego Uniwersytetu Gregorianum, oparte jest na przedpłacie. W pierwszym tomie znajduje się długa lista ofiarodawców i prenumeratorów „Millenium“. Są to przeważnie nazwiska duchownych, a wśród instytucji — zgromadzenia zakonne. Nie ulega wątpliwości, że skoro I tom wydawnictwa dojdzie do szerokich rzesz Polaków w świecie, przedpłaty na dalsze tomy posypią się hojnie. „Sacrum Poloniae Millenium“ z wykazem nazwisk prenumeratorów jest przecież sprawą naszej godności jako chrześcijan i Polaków, żyjących w wolnym świecie i legitymacją naszego udziału w wielkim historycznym dziele.

Pierwszym i głównym mecenasem monumentalnego wydawnictwa stał się Ojciec św. Pius XII, który pobłogosławił pracom Komitetu i hojnym datkiem umożliwił rychłe przystąpienie do dzieła.

Tom II „Sacrum Poloniae Millenium“ ukaże się jesienią b.r. i będzie zawierał prace o dużej aktualności, m.in. o stosunku Mickiewicza do Kościoła, o trosce o lud w ustawodawstwie synodalnym przedrozbiorowej Polski, o stosunkach wyznaniowo narodowościowych na Śląsku w XVII wieku, o roli dziejowej zmartwychwstańców.

Rzeczą kompetentnych historyków będzie ocenić dorobek naukowy I tomu „Sacrum Poloniae Millenium“. Dla zwykłego czytelnika jest to „silva rerum“ rzeczy polskich, a lektura jest urzekającą wyprawą w głąb dziejów ojczystych. Czytając te prace wybitnych historyków doznaje się uczucia dumy, że się jest katolikiem Polakiem. W opublikowanym tomie zamieszczono jakby symbolicznie prace z okresu niemal całego tysiąclecia, które niby słupy milowe oznaczają pochód naszych dziejów. Tom otwiera rozprawa Leona Koczego o „Chrzcie Polski“, a dalej idą prace: Oskara Haleckiego o nowych źródłach do Unii Brzeskiej, ks. Stefana Dudy o stosunkach Stolicy Apostolskiej do wydarzeń politycznych w Polsce w okresie pierwszego rozbioru (w języku francuskim), o. Edmunda Eltera o wybitnym uczonym polskim światowej sławy u schyłku XVII wieku, jezuicie Adamie Kochańskim, Eugeniusza Jarry o twórczości prawnej duchowieństwa polskiego (966 — 1800); ks. Zbigniew Szostkiewicz przygotował po benedyktyńsku „Katalog biskupów obrządku łacińskiego przedrozbiorowej Polski“ wraz z ich krótkimi życiorysami i ocenami.

Na czoło wybijają się wartością naukowo-odkrywczą, obiektywizmem i talentem pisarskim szczególnie prace profesorów: Koczego, Haleckiego i Eltera. Czyta się je jak nieprzeciętne powieści historyczne.

Tom, niestety, posiada też drobne skazy: pierwszą jest niedbała korekta rozpraw profesorów Koczego i Haleckiego, więcej nawet, nieprzystosowanie ich do druku. W wydawnictwie milenijnym, pomnikowym, swawola ortograficzna i niedbalstwo korektorskie są niedopuszczalne. Również opatrzenie pracy prof. Jarry uwagą: „stosownie do wyraźnego i stanowczego życzenia Autora pracę tę drukujemy bez żadnych zmian“ odbiega od zwyczajów naukowych. Przykre te usterki tłumaczą się, oczywiście, trudnymi warunkami pracy naukowej na emigracji.

Wydawnictwo „Sacrum Poloniae Millenium“ napawa nas głęboką dumą, że oto nasza emigracja ma do spełnienia i spełnia rolę mandatariuszki ujarzmionej ojczyzny i jej świętego Kościoła.

J. B.

NA ROK MICKIEWICZOWSKI
WYDAWNICTWA
STOWARZYSZENIA PISARZY POLSKICH
ADAM MICKIEWICZ: **Poezje wybrane,**
przedmowa Jana Lechonia,
wybór Wiktora Weintrauba.
3/6
ADAM MICKIEWICZ: **Słowa do emigracji i słowa do Europy,**
wybór publicystki w opracowaniu Tymona Terleckiego
3/6
Do nabycia:
VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

LEON KOWNACKI

MANOWCE DYKTATURY

W okresie Bożego Narodzenia prasę światową obiegły wiadomości o drastycznym wzmożeniu akcji prezydenta Perona przeciwko Kościołowi katolickiemu w Argentynie. Parlament argentyński uchwalił ustawę legalizującą rozwody, w szkołach zniesiono obowiązkowe nauczanie religii, kilkudziesięciu księży zostało aresztowanych pod zarzutem knowań antyrządowych, prasa rozpoczęła oszczerczą kampanię przeciw duchowieństwu.

W ciągu stycznia i lutego pisma katolickie we Francji ogłosiły dalsze wiadomości. Dziennik katolicki „El Pueblo“ został zamknięty, radiowe audycje katolickie zniesione, związki zawodowe zmuszone do składania deklaracji zapowiadających zwalczanie wpływów kleru w szeregach robotniczych. Prawo o zgromadzeniach publicznych zakazało zgromadzeń o charakterze religijnym, nie wyłączając procesji na zewnątrz kościołów. W Buenos Aires odbyła się wielka manifestacja antykatolicka, po której obnoszono ulicami miasta manekin ubrany w sutannę i zawieszony na szubienicy. W walce z Kościołem nie cofano się przed prowokacją. Zwolennicy Perona, poprzebierani w stroje duchowne i zakonne, wywoływali awantury na ulicach i w barach. Sekretariat parti. kobiet peronistek rozesłał swym członkiniom okólnik nakazujący przenikanie do organizacji katolickich w celach szpiegowskich, a nawet przystępowanie do spowiedzi z obowiązkiem donoszenia o pouczeniach kapłana.

PERON I EVITA

Powody tej nieprzebierającej w środkach kampanii antykościelnej były niejasne. Opinia Zachodu nie bardzo mogła zrozumieć, dlaczego prezydent państwa przeważająco katolickiego, mieniący się być katolikiem i zobowiązany z mocy konstytucji do ochrony wiary katolickiej, ryzykuje posunięcia prowokujące szerokie warstwy ludności i mogące poderwać jego i tak już nadszarpniętą popularność. Brak jest dokładnych wiadomości o bezpośrednich powodach konfliktu, gdyż prasa argentyńska jest kontrolowana nie gorzej od sowieckiej, zestawienie jednak dostępnych faktów i oświadczeń publicznych Perona i jego zwolenników pozwala na naszkicowanie obrazu wydarzeń, które postawiły katolickiego z pozorów prezydenta w szeregach nieprzyjaciół Kościoła.

Peron, dwukrotnie obierany prezydentem Argentyny, zawdzięcza swą popularność wygrywaniu interesów szerokich warstw robotniczych przeciwko argentyńskiej burżuazji i arystokracji. Dziesięcioletnie jego rządy przyniosły poprawę bytu nędznie wegetującym peonom, wyzyskiwanym bez litości przez właścicieli feudalnych latyfundii, oraz szybko rosnącej warstwie proletariatu przemysłowego. Do wzrostu tej popularności przyczyniła się walnie żona prezydenta, b. aktorka, Ewa Duarte, kobieta ambitna, obdarzona dużym czarem osobistym i temperamentem furii. Kierowała ona zakrojoną na wielką skalę akcją humanitarną reżymu; jej dziełem była Fundacja Pomocy Społecznej, wyposażona w ogromne środki z funduszów państwowych i prywatnych, zakładająca szpitale, przytułki dla starców, żłobki dla dzieci, kantyny robotnicze, a nawet dysponująca własną prasą i stacjami radiowymi.

W parze jednak z tą dobroczynną działalnością rządów Perona szło opanowywanie przezeń życia politycznego kraju. Korzystając ze swego autorytetu w masach pracowniczych, poddał on swej bezpośredniej kontroli ruch zawodowy reprezentowany przez Generalną Konfederację Pracy z 5 milionami członków; „Front Kobiet Peronistek“ z 4 milionami członków stał się, podobnie jak Fundacja Pomocy Socjalnej, domeną wpływów Evity. Partia peronistów otrzymała faktyczny monopol na działalność polityczną i propagandę. W Argentynie powstał ustrój nowoczesnej dyktatury pretendujący do opanowania całości życia zbiorowego. Trzeba wszakże stwierdzić, że jest to dyktatura znacznie łagodniejsza od sowieckiej: nie zna ona obozów pracy przymusowej i nie stosuje likwidacji fizycznej przeciwników jako systemu walki z opozycją. Peron jest zresztą zaciekłym wrogiem komunizmu.

POSZUKIWANIE OFIAR

Po śmierci Evity popularność dyktatora zaczęła gasnąć. Pozbawiony działania swej energii, ujawnił on pewną bezradność wobec trudności gospodarczych kraju i dojrzewającego kryzysu ekonomicznego. Wzrost cen zniwelował w dużej mierze korzyści, jakie przyniosły jego rządy warstwom robotniczym. Jednocześnie dyktatura o tendencjach totalitarnych z jej ograniczeniami swobód obywatelskich, wolności słowa i zrzeszeń, tłumieniem opozycji i przywilejami dla zwolenników reżymu, zaczęła coraz bardziej ciążyć ludności. Peron stanął wobec zagadnienia kryzysu władzy i zagrożenia idei swej „rewolucji socjalnej“.

Każdy rząd autokratyczny, stając wobec trudności rządzenia, szuka przede wszystkim kozłów ofiarnych i znajduje je, zależnie od koniunktury, bądź wewnątrz, bądź na zewnątrz państwa. Niepowodzenia rządzących w krajach obszaru sowieckiego przypisuje się zazwyczaj działalności „wrogów klasowych“ lub intrygom „kapitalistycznego okrążenia“. Jest to wzór klasyczny dla wszelkich dyktatur: rządzący odwracają od siebie wzbierającą falę powszechnej niechęci i kierują ją w stronę domniemanego wroga. Wybór Perona padł na Kościół, jako jedyną organizację niezależną, nie pretendującą wprawdzie do wpływów politycznych, lecz dążącą do władztwa moralnego, nie uznającą w nim swego najwyższego zwierzchnika, lecz rządzoną hierarchicznie spoza granic państwa. Wybór był politycznie nietrafny, na gruncie wszakże przykładów historycznych — zrozumiały.

RYWALIZACJA

Do tego doszły inne jeszcze motywy. Dyktator argentyński dopatrzył się w działalności Kościoła rywalizacji z akcją swego rządu. Wpływy duchowieństwa w związkach zawodowych wzrosły, zwłaszcza wśród młodzieży robotniczej, Kościół odwracał młodzież od należenia do zakładanych przez peronistów „klubów sportowych“, członkowie Akcji Katolickiej odmawiali wstępowania do partii peronistów. Kościół odmówił przyjęcia zasady, że humanitarna działalność Evity zwalnia go od pełnienia swego ewangelicznego posłannictwa. Gdy w czasie kongresu eucharystycznego w Rosario legat papieski, kardynał Ruffini, po zwiedzeniu luksusowego „Hogar de la Empleada“ (domu robotniczego), założonego przez Evitę z funduszów rządowych, odwiedził także nierównie skromniejszy dom robotniczy założony przez Mgr. de Andrea, Evita była bardzo zagniewana. Dodać trzeba, że Kościół patrzał krytycznie na kult pośmiertny żony Perona, której katolicyzm był wątpliwy, a którą wyniesiono na piedestał „bohaterki narodowej“ i quasi świętej.

Domniemana rywalizacja Kościoła wywołała ze strony peronistów groźby ograniczenia jego działalności wyłącznie do dziedziny kultu. Rzucono hasło: zamknąć działalność duchowieństwa w murach zakrystii.

JUSTICJALIZM

Przyczyny konfliktu tkwiły jednak także i głębiej. Peron jest twórcą doktryny, którą nazwał „juticyalizmem“. Jest to doktryna propagująca ideał sprawiedliwości społecznej, lecz w istocie swej mętna. Jej punktem wyjścia, sądząc z oświadczeń Perona, jest zasada suwerenności ludu. „Nie uznaję nad sobą innego suwerena niż lud“ — mówił on na jednej z konferencji z biskupami. „Jeżeli się zdarzy, że lud się pomyli, pomylę się razem z ludem: jest to jedyny błąd wytłumaczalny... Żadna siła nie zmusi mnie do uległości, oprócz ludu... Lud tylko jest panem rządu peronistów.“ Ponad ludem nie ma więc już nic; jest to swoista deifikacja ludu.

Dyktatury nowoczesne szukają zazwyczaj ideologicznego uzasadnienia nieograniczonej władzy, mitu, który by potrafił grać na namiętnościach i opanować umysły. Takim mitem była dla faszyzmu idea wszechobejmującego i pochłaniającego jednostkę państwa, dla hitleryzmu — idea germańskiej wspólnoty rasowej, dla komunizmu jest nim idea utopijnego bezklasowego społeczeństwa. Peron odnalazł swój mit w idei suwerenności ludu.

W rozwoju wszakże tych mitologii odbywa się proces stopniowych identyfikacji; lud utożsamia się z partią, reprezentują nieomylnie i wyłącznie jego pragnienia i interesy, partię zaś z jej przywódcą, który się staje w ten sposób uosobieniem aspiracji i misji dziejowej narodu. W systemie peronowskim deifikacja ludu prowadzi do deifikacji przywódcy i wypaczenia idei chrześcijaństwa. Przemawiając na kongresie w Rosario, Peron, nie odmawiając wprawdzie wyraźnie Chrystusowi boskości, przypisywał Jego ludzkiej jedynie osobie wszystko, co zdziałał On na ziemi, zaś peronizm podnosił do godności najbardziej autentycznego spadkobiercy Chrystusowej doktryny. „Taki jest nasz chrystianizm“ — kończył swe przemówienie — „chrystianizm praktyczny, justycjalistyczny“.

HISTERIA

Ziarno rzucone przez przywódcę rozkwitło bujnie w oświadczeniach interpretatorów doktryny. „Przybierając pozory ludzi Chrystusowych“ — mówiła o duchowieństwie na zjeździe kobiet peronistek przewodnicząca tego ruchu, Mme Delia de Parodi — „zapoznają oni naukę o dobru i miłości pozostawioną nam przez Męczennika Golgoty, nigdy nie chcieli zrozumieć tej nauki i walczą z nią siłami ciemności, przeciwstawiając się tej świetlistej ewangelii, jaką jest doktryna Perona“. Związek zawodowy sprzedawców czasopism oświadczał w adresie hołdowniczym do dyktatora: „Bóg jest obecny na ziemi w osobie Perona. Bóg istniał tylko dla bogatych i możnych, dopóki ty nie dokonałeś cudu otwarcia wrót niebieskich dla tych, co nigdy nie wyznawali żadnej religii“.

Dyktator argentyński urasta więc do godności następcy Chrystusa na ziemi. „Ci, którzy pragną oddalić nas od Perona“ — mówił sekretarz GKP, Vuletich, 25 listopada w Luna Parku — „wiedzą, że jednocześnie oddalają nas od Boga... Jesteśmy zdecydowani walczyć zawsze i wszędzie w obronie tego, co Bóg nam zesłał rękami Perona“. Mówca kończył swe wystąpienie w klasycznym stylu sowieckim: „Oto sześć milionów robotników podnosi głos, aby wam powiedzieć: Precz, handlarze religią! Precz, wrogowie ludu i wrogowie Boga! Ojczyzna ma jedno tylko przeznaczenie: nazywa się ono Peronem, i jedną tylko dewizę: zawsze z Peronem“.

Każdy podbudowany mitem totalizm rodzi swych fanatycznych zwolenników. Peronizm reprezentuje ideę chrześcijaństwa lepiej i pełniej niż kler katolicki — głosi justicjalistyczna ewangelia, a przeświadczenie to daje jej wyznawcom poczucie swej wyższości, obdarza ich rodzajem posłannictwa, pozwala na roztopienie swej osobowości w oparach perwersyjnego mistycyzmu. Peronizm jest formą dyktatury o cechach swoistych: jak hitleryzm i komunizm, rzuca on wyzwanie Kościołowi, czyni to wszakże nie w imię propagandy ateizmu lub nawrotu do pogaństwa, lecz wdzierając się w dziedzinę niepodzielnej władzy Kościoła: w dziedzinie zasad wiary.

REAKCJA

Nic więc dziwnego, że hierarchia kościelna nie mogła patrzeć obojętnie na ten popis fanatyzmu i groteski. Kardynał Ruffini, odpowiadając na nowę dypktatora w Rosario, potępił jego doktrynę; biskupi argentyńscy odpowiedzieli listami apostolskimi, broniąc działalności organizacji katolickich i stwierdzając, że pozostaną nadal wierni swej misji formowania chrześcijańskiego i apostolskiego narodu, „zgodnie z objawioną doktryną, o której skuteczności mogą dyskutować lub jej przeczyć tylko ci, co ją znają“. Kościół nie zamierza zamknąć się w murach świątyń: „w obliczu ateistycznego komunizmu i materializmu, w obliczu rozwodów i szkoły laickiej .. żaden kapłan nie może zostać obojętny, lecz winien bronić jasno i niezłomnie wieczystych wartości... Obowiązkiem Kościoła jest głoszenie Ewangelii zgodnie z nakazem jego Boskiego Założyciela“.

PERON

Konflikt więc rozgorzał, lecz jest on sztuczny i, jak należało się spodziewać, nie przeniknął do mas katolickich. Uroczystość ku czci Matki Boskiej, mająca się odbyć 8 grudnia na placu Mayo w Buenos Aires, została zakazana. Nie ufając zakazowi, peroniści zorganizowali w tym samym czasie manifestację prorządową, na którą zwożono ludzi ciężarówkami. W manifestacji tej wzięło udział około dwa tysiące osób, gdy uroczystość katolicka przekroczyła liczbą uczestników wszelkie dotychczasowe zgromadzenia polityczne i religijne: wzięło w niej udział około 200 tysięcy osób. Policja nie odważyła się przeciwstawić masom, prasa pominęła obchód katolicki milczeniem.

EPIZOD

Czy peronizm zapowiada powstanie nowej sekty religijnej? Nie wydaje się, gdyż nie jest to w swym założeniu ruch religijny, lecz polityczno-społeczny. Pierwiastki mistyki religijnej są w nim raczej przypadkowe: wyrosły one na gruncie niepohamowanych ambicji dyktatora i walki ze społeczną działalnością Kościoła. „La Prensa“ — pismo obecnie prorządowe — stara się przekonać swych czytelników, że peronizm nie atakuje religii ani Kościoła, lecz jedynie część kleru sabotującą organizacje peronowskie i siejącą niepokój w kraju. Akcja Perona sprzyja jednak niewątpliwie rozwojowi misji protestanckich i sekt religijnych licznie reprezentowanych w tym rozległym kraju.

Jak można przewidywać dalszy rozwój wydarzeń? Gasnąca popularność Perona nie wróży zbytniej trwałości jego władzy. Konflikt z Kościołem może osłabić raczej niż wzmocnić jego pozycję polityczną. Jego sześcioletnia kadencja dobiega końca; brak wprawdzie zorganizowanej opozycji i człowieka, którego mogłaby ona skutecznie przeciwstawić argentyńskiemu dyktatorowi; monopartia i policja, to skuteczne, choć czasem zawodne, narzędzie utrzymywania się przy władzy. Lecz kraje Ameryki Łacińskiej obfitują w niespodzianki w postaci spisków i pałacowych rewolucji; historia Argentyny nie jest od tych niespodzianek wolna. Tak czy inaczej, nie wydaje się, aby konflikt między peronizmem a Kościołem mógł zachwiać poważnie organizacją i działalnością Kościoła w Argentynie. Historii Kościoła przybędzie tylko epizod, świadczący o manowcach, po których błądzą ambicje ludzkie w pogoni za mirażem władzy.

Leon Kownacki

Dzielnica handlowa w Buenos Aires.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

ROCZNICE PAPIESKIE

2 i 12 marca minęły 16-te rocznice wstąpienia na Tron Piotrowy i koronowania Piusa XII. Cały świat katolicki w modłach swoich przed Panem wspominał Papieża szczególnie gorąco w tym roku, kiedy to Pius XII do chwały swych wielkich czynów apostołowania „w pracy i mozole, w częstym niespaniu, w postach, w utrapieniach, w Duchu Świętym, w nieobłudnej miłości, w słowie prawdy, w mocy Bożej" — dodał znoszenie „w wielkiej cierpliwości" choroby, którą go Bóg nawiedził (por. II. Kor. VI, 4-7; XI, 27). Sam Papież, w krótkim przemówieniu na zamknięcie Roku Maryjnego, 8 grudnia 1954, zaznaczył: „jesteśmy wdzięczni Panu, który zażądał od Nas cierpienia i ofiary jako aktu miłości".

Stała poprawa zdrowia Papieża. Od szeregu tygodni w zdrowiu Ojca św. Piusa XII nie zaszła poważniejsza zmiana. Papież odzyskuje powoli, ale stale, swoje siły. Rekonwalescencja jest powolna z powodu podeszłego wieku. W ostatnich tygodniach lekarze zwiększyli używanie i pozwolili Papieżowi na większą aktywność. Wobec tego Ojciec św. udzielił kilku prywatnych audiencji. W publicznych jednak wystąpieniach Papież ograniczał się w dalszym ciągu. Nie brał również udziału w nabożeństwie żałobnym w rocznicę śmierci swego poprzednika Piusa XI, w dniu 10 lutego. Nabożeństwo odprawił kardynał Eugeniusz Tisserant, dziekan Kolegium Kardynalskiego. Najwięcej czasu Papież poświęca obecnie na pisanie i poprawianie różnych listów apostolskich, odezw i przemowień, które w jego imieniu są następnie odczytywane i publikowane.

Papież poleca akcję miłosierdzia. Na ręce arcybiskupa Karola Altera, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Stanów Zjednoczonych, Ojciec św. Pius XII wysłał w uroczystość Nawrócenia św. Pawła serdeczny list do całej Hierarchii amerykańskiej, polecając gorąco akcję miłosierdzia. Zbiórka na fundusz Episkopatu (Bishop's Welfare and Emergency Relief Fund) odbędzie się w całej Ameryce w niedzielę Laetare 20 marca. Celem jej jest zebranie pięciu milionów dolarów. Kierownikami Reliefu w N. Jorku są: ks. prałat Edward Swanstrom, oraz ks. prałat Alojzy Wycisło. Kierownictwo działu polskiego spoczywa w rękach p. Ireny Dalgiewicz. W roku ubiegłym pomoc katolików amerykańskich dla potrzebującej ludności w 63 krajach wyniosła 43 miliony 620 tysięcy dolarów.

W liście swym Ojciec św. pisze m. i.: „Nie ma granic, gdy chodzi o sprawę wyciągnięcia pomocnej ręki do cierpiących i nieszczęśliwych. Stale wzrastający duch apostolski, przejawiający się w szlachetnej ofiarności Hierarchii i wiernych w Ameryce, był dla Nas zawsze źródłem wielkiej pociechy. Jeśli mogliśmy odpowiadać na falę próśb o pomoc, należy to przypisać w dużej mierze szlachetności amerykańskich katolików. Jesteśmy pewni, iż nadal podtrzymywać będziecie Nasze ramiona w tym posłannictwie miłosierdzia, które jest istotą zastępstwa Chrystusowego".

Rozbudowa bazyliki w Lourdes. Biskup diecezji Lourdes i Tarbes, Pierre Théas, przygotował wspólnie z wybitnymi architektami plan rozbudowy bazyliki i przyległych placów w Lourdes. Rozbudowa, która obejmie rozszerzenie placów wokół bazyliki, przerzucenie dwóch nowych mostów przez rzekę Gawę oraz zbudowanie obszernej krypty pod bazyliką, związana jest z nadchodzącymi w r. 1958 uroczystościami stulecia objawień Matki Boskiej w Lourdes.

Błogosławiona Assunta Pallotta. W niedzielę 7 listopada odbyły się uroczystości beatyfikacyjne sługi Bożej Assunty Pallotta. Jest ona ósmą beatyfikowaną z instytutu franciszkanek misjonarek Maryi. Siedem poprzednich, które były męczennicami, beatyfikował Pius XII w roku 1946. Na uroczystości przybyły licznie franciszkanki misjonarki Maryi ze wszystkich części świata, reprezentując 36 narodowości; były wśród nich zakonnice chińskie i japońskie. Obecne były również niewieściczki błog. Assunty, a wśród nich matka Maria Lucyna, obecnie generalna wikariuszka instytutu, która wyjechała do Chin wraz z nową błogosławioną i była obecna przy jej śmierci na tyfus.

NOWOŚĆ!
M. LISIEWICZ
GDZIE GORĘCEJ BIJĄ SERCA
Powieść
dla młodych i starych
Str.286. Opr. płóc. Obwoluta.
Cena 15/- i 6 d za przesyłkę.
Do nabycia:
w Katolickim Ośrodku Wyd.
„Veritas"
12, Praed Mews, London, W.2.
oraz w polskich księgarniach

BOLESŁAW TABORSKI

O TEATR POLSKI NA EMIGRACJI

(Uwagi na marginesie otwarcia „Teatru Nowego")

Byliśmy niedawno swiadkami ciekawej i odważnej inicjatywy. Robert Hopen nabył dawny Chepstow Theatre Club i uruchomił polski teatr w Londynie inaugurując go sztuką Zapolskiej **Panna Maliczewska.** Nie będę się tu zajmował w zasadzie samą sztuką i jej inscenizacją przez Teatr Nowy, gdyż będzie ona przedmiotem recenzji Jana Bielatowicza. Ale już choćby sama niezwykłość tego przedsięwzięcia daje okazję i podnietę do zastanowienia się nad sprawą, w której z niewyjaśnionych dla mnie przyczyn prasa emigracyjna od dłuższego już czasu nabrała wody w usta. Milczenie to jest tym bardziej nieuzasadnione, że nie chodzi tu o drobiazg, ale o zagadnienie naprawdę wielkiej wagi: o teatr polski na emigracji; jego sytuację dzisiejszą i widoki na przyszłość.

Z góry trzeba powiedzieć, że w głównym skupisku emigracyjnym, jakim (do niedawna w każdym razie) była Wielka Brytania, teatr polski przez ostatnie lata właściwie nie istniał. Sporadyczne inscenizacje podrzędniejszych fars, najczęściej tłumaczonych z obcych języków, czy rocznicówki w Scali nie stanowią jeszcze Teatru (przez duże T). Gdyby taki stan rzeczy miał miejsce w kolonii polskiej w Australii czy Kanadzie, usprawiedliwieniem mógłby być brak artystów, fachowców, duże odległości itd. Ale w rejonie Londynu sytuacja tego rodzaju musi być określona jako skandal. Nie brakuje sił fachowych, a jak zaraz zobaczymy nie brak też potencjalnych widzów i środków. Poza tym wspomnieć można jeszcze jeden „drobiazg": teatr jest potrzebą społeczną, a Polacy jak mało który naród wiedzą, jak wielka jest siła teatru zwłaszcza w czasach, gdy zagrożony jest byt narodu. Podobno jesteśmy emigracją polityczną i zdawałoby się, że utrzymywanie teatru z prawdziwego zdarzenia jest naszym obowiązkiem wobec kultury polskiej. Tej sprawy nie będę rozwijał, bo uważam ją za oczywistą, a poza tym posądzono by mnie o bujanie w obłokach i unikanie przyziemnych realiów, jakimi są kwestie finansów i czysto praktyczne względy, bez liczenia się z którymi żaden teatr prywatny istnieć nie może.

Jeżeli mówię o impasie, w jakim znalazł się teatr emigracyjny, nie znaczy to, żebym nie doceniał osiągnięć poszczególnych zespołów, reżyserów, aktorów, nie znaczy też wcale, że nie zdaję sobie sprawy z niezwykle ciężkich warunków pracy i trudności, z jakimi na każdym kroku teatr na emigracji musi się borykać. Wciąż należy to podkreślać i chwalić teatr za to, co mu się słusznie należy. Ale „okoliczności łagodzące" nie zmienią faktu, że teatr emigracyjny jako całość zastygł w letargu i że winę za to ponoszą w dużym stopniu właśnie ci dzielni i niestrudzeni ludzie teatru. Tak się już paradoksalnie złożyło, że materialne bankructwo było wynikiem zbytniej troski właśnie o względy materialne, opartej na fałszywych założeniach. Ludzie teatru popełnili zasadniczy błąd w ocenie publiczności, lub też ograniczyli swe zainteresowania tylko do części potencjalnych widzów, nie biorąc reszty pod uwagę. Co tu owijać w bawełnę: gusty i zainteresowania publiczności oceniono tak nisko, że dla rzekomego dogodzenia im wystawiano przeważnie śmiecie. To odstraszyło miłośników teatru, na których Teatr powinien się opierać. Miłośnicy śmieci natomiast mają sporo możliwości zaspokojenia swych potrzeb w teatrzykach angielskich. (Nie można tego powiedzieć o miłośnikach poważnych sztuk. Dobre sztuki grywane w teatrach angielskich są innego rodzaju: nie należą do **polskiego** repertuaru klasycznego, czy współczesnego; śmiecie natomiast są do siebie podobne). Przy polskich teatrzykach pozostali więc wielbiciele poszczególnych artystów z przedwojennych czasów i ludzie nie znający języka angielskiego, którzy nie mieli wyboru. Ale tych nie było zbyt wielu. W rezultacie teatr emigracyjny bankrutował finansowo tym bardziej, im bardziej bankrutował artystycznie, aż wreszcie przez swój oportunizm, i to oportunizm oparty na fałszywych założeniach, skończył się zupełnie.

Mamy wystarczającą ilość dowodów na to, że istnieje zapotrzebowanie społeczne na poważny teatr na emigracji. I tak, jest rzeczą ciekawą, że ze sztuk wystawianych największy sukces (nie tylko w Londynie, ale i na prowincji) odniosły nieliczne dobre sztuki, jak **Zygmunt August** Wyspiańskiego, **Rozdroże miłości** Zawieyskiego, czy **Sami swoi** Pietrkiewicza. A nie ma potrzeby przypominać o niesłychanym powodzeniu, jakim cieszyły się **Dziady, Wesele** i **Moralność pani Dulskiej,** grane przez młodzież pod wytrawnym kierownictwem L. Kielanowskiego. Kontynuowanie podobnych imprez z podobnym repertuarem (a więc sztuki klasyczne, zwłaszcza poetyckie, jak i dobre sztuki nowe pisarzy krajowych i emigracyjnych) miałoby zapewnione poparcie ze strony publiczności. Innym wskaźnikiem na zainteresowanie się dramatem jest poczytność, jaką cieszą się utwory dramatyczne w bibliotekach polskich. Jest rzeczą stwierdzoną, że w dzisiejszych czasach ludzie znacznie chętniej oglądają sztuki na scenie, niż czytają je. Czytelnicy dramatu woleliby chodzić do teatru, gdyby taki był, i są potencjalnymi widzami. W prywatnych rozmowach do znudzenia słyszy się opinie: poszedłbym do teatru polskiego, gdyby grano **dobre** sztuki. Nie ulega wątpliwości, że teatr jest potrzebny i ma szanse utrzymania się. Ludzie chcą teatru, ale dobrego, nie byle jakiego. Oczywiście dobry teatr oznacza dobrych aktorów, reżyserów, scenografów. Ale podstawowe znaczenie ma repertuar, bo ze złych sztuk najlepsi artyści nie stworzą dobrego teatru.

Twórczość dramatyczna w języku polskim rozwinęła się późno i ilościowo nie jest zbyt bogata, w porównaniu do literatur zachodnich. Poza nielicznymi wyjątkami z XVIII w. dopiero w XIX w. pojawiły się sztuki, które można dziś jeszcze wystawić licząc na powodzenie. Od tego czasu aż po dziś dzień niemal, dramat polski szedł jakby dwoma odrębnymi torami, rozwijał się na dwóch poziomach. Pierwszy rodzaj, to dramat typu monumentalnego, przeważnie, choć nie w zupełności, poetycki. Drugi określić by można z grubsza jako dramat obyczajowy i komedię szlachecką i mieszczańską. Za osobną kategorię uważać trzeba sztuki najnowsze, napisane w ciągu ostatnich kilkunastu lat, które nie ustaliły się jeszcze w repertuarze w sposób określony. Faktem jest, że teatr monumentalny i poetycki stanowi nasz najoryginalniejszy i pod każdym względem najbardziej interesujący dorobek. Mamy szereg pozycji wybitnych, dorównujących arcydziełom dramatu światowego, tak scenicznie jak i poetycko, a w niektórych okresach (romantyzm) przewyższających osiągnięcia innych krajów. Gdyby najlepsze sztuki Słowackiego czy Wyspiańskiego były przetłumaczalne, mielibyśmy czym zaimponować światu. Nawet Norwid, który nam samym jako dramaturg jest prawie nieznany, okazałby się rewelacją, gdyż uprzedził o stulecie bez mała eksperymenty, jakie w zakresie komedii poetyckiej prawie dokładnie w taki sam sposób przeprowadza Christopher Fry. Ale cóż tu marzyć o Norwidzie, jeśli w stulecie śmierci Słowackiego teatr emigracyjny zaprezentował składankę fragmentów i do tej pory nie zdobył się na wystawienie jednej sztuki największego polskiego dramaturga.

Natomiast sztuki należące do drugiej kategorii, od komedii Fredry, Korzeniowskiego, Bałuckiego po dramaty obyczajowe Zapolskiej, są repertuarem znacznie niższej klasy, dużo mniej oryginalnym, naśladującym wzorce zachodnie. Oczywiście nie oznacza to, żebyśmy mieli cały ten repertuar odrzucić. Możemy, a nawet — skoro lepszych sztuk nie mamy, musimy — ustalić sobie klasyki w zakresie tego dramatu, ale należy sobie zdawać sprawę z tego, że są to klasyki mniejszego rzędu i że pod tym względem nie ma mowy o porównywaniu się z Europą. Najlepsze sztuki n.p. pisarzy wymienionych wyżej można czasem grać, ale błędem jest opieranie całego repertuaru tzw.poważnego na tym, co w porównaniu z naszym dramatem poetyckim, czy komedią i dramatem obyczajowym na zachodzie jest jednak repertuarem drugiej klasy. Cały Bałucki (nawet z **Grubymi rybami**), Korzeniowski i większość komedii i fars Fredry, to mimo wszystko druga klasa. Przyjęło się jednak w emigracyjnym teatrze uważać, że obowiązek wobec poważnego repertuaru jest spełniony, jeśli wystawi się parę ramot pisarzy, których nazwiska są znane z tego, że poza tym co się wystawia napisali jeszcze parę sztuk możliwych. Jest to złudzenie. Nazwisko Fredry na afiszu **Zrzędności i przekory,** Żeromskiego na afiszu **Grzechu,** a Zapolskiej na programie... **Panny Maliczewskiej** wcale jeszcze nie świadczy o tym, że publiczności daje się dobre sztuki. Że wiele z tych sztuk grywało się i grywa w Kraju, to nie jest argument. Na emigracji, gdzie bardzo niewiele sztuk można wystawiać w ogóle, gdyż mało jest teatrów i możliwości, trzeba wystawiać tylko rzeczy najlepsze; należy kierować się jakością sztuki, a nie nazwiskiem jej autora.

Z żalem muszę stwierdzić, sympatyzując z inicjatywą Hopena, że Teatr Nowy mógłby zacząć swą działalność lepszą sztuką od **Panny Maliczewskiej.** Cóż z tego, że w czasach króla Ćwieczka sztuka ta była popularna w Polsce. Były tam inne warunki i brak było kryteriów porównawczych; sztuka była też może wtedy bardziej aktualna. Czas zdarł z niej płytki szych Wielkiego Psychologicznego Dramatu Obyczajowego i obnażył banalną szmirę. **Moralność pani Dulskiej** nie jest złą sztuką, **Panna Maliczewska** jest. Nie zmieni tego faktu ofiarna praca zespołu, ani entuzjazm zaproszonych na premierę gości, którym być może sztuka ta przywiodła na myśl miłe wspomnienia sprzed wojny. Hopen myli się jednakże uważając, że ludźmi, z myślą o których wybrał tę właśnie sztukę na otwarcie swego sezonu, zapełni salę na wiele przedstawień. (A może zapełni, bo to pierwsza inscenizacja i szereg osób przyjdzie choćby przez ciekawość. Ilu z nich wróci?) Nasuwa się przypuszczenie, że impreza Hopena oparta jest na podobnych koncepcjach repertuarowych, co niefortunne wysiłki innych teatrów emigracyjnych w ciągu ostatnich lat. A przecież tamte wysiłki skończyły się klęską. Czas już więc na podjęcie próby opartej na założeniach odmiennych nie tylko administracyjnie, ale zwłaszcza w polityce repertuarowej. Bo z punktu widzenia polskiego teatru małą pociechą jest, że w rezerwie trzyma się klub brydżowy, bar i kawiarnię, oraz przewiduje się wynajmowanie sali dla zespołów angielskich, gdyby Polacy teatru nie poparli. Tu chodzi o to, żeby **polski** teatr się udał. Teoretycznie rzecz biorąc pięćdziesięciotysięczne miasto, jakie stanowią Polacy w Londynie, powinno się zdobyć na zapełnienie jedynego teatru o 140 miejscach przez 300 dni w roku. W praktyce wiemy, że byłby to postulat zbyt wygórowany (choć choćby odległości londyńskie nie zachęcają ludzi do podróży do teatru). Ale połowa tej liczby powinna być osiągalna. W każdym razie polski teatr powinien mieć pierwszeństwo w maksymalnym zakresie. Pozostałe dni mogą być odstępowane Anglikom, ale oby było ich jak najmniej, a „polskich" dni jak najwięcej.

Nie chcę dawać Hopenowi rad cioci Kloci, ale wydaje mi się, że nie powinien bać się śmiałej rewizji swych repertuarowych planów, która poszłaby w kierunku wybitnego ograniczenia repertuaru nr. 2, reprezentowanego przez **Maliczewską,** a oparcia się głównie na repertuarze pierwszym, t.j. na najlepszych sztukach polskich, przede wszystkim na dramacie poetyckim Ten na pozór rewolucyjny plan podciągnięcia teatru w górę ku bardziej ambitnym przedsięwzięciom jest jedyną deską ratunku dla teatru polskiego, gdy zawiodła metoda równania w dół. Publiczność, która adoruje **Maliczewską,** zjawi się i na lepsze sztuki, a poza tym zasięg teatru rozszerzy się na nowe zastępy odbiorców, wśród których główną grupę stanowić będzie młodzież. Nie trzeba zapominać, że wciąż powiększają się na emigracji zastępy dorosłej młodzieży i nie należy lekceważyć jej jako potencjalnego odbiorcy. Trzeba uświadomić sobie fakt, że nawet ludzie trzydziestoletni na emigracji nie widzieli na scenie prawie nic z klasycznego repertuaru, bo gdy wojna wybuchła mieli lat 14. Jedno jest pewne: że młodych ludzi nie przyciągnie repertuar nr. 2. Wyrośli oni za granicą, znają dobrze obce języki i teatr krajów, w których przebywają. Na kiepskie naśladownictwo sztuki angielskiej czy francuskiej będą patrzyli z zażenowaniem i po takim zetknięciu się z polskim teatrem mogą do niego nie wrócić. A repertuaru klasycznego spragnieni są wraz ze starszymi. „Zwyczajna" **Balladyna** zrobiłaby furorę. W dramacie poetyckim młodzież może zobaczyć to, co jest specyficznie polskie, czego w żadnym obcym teatrze nie znajdzie. **Maliczewska** jest niczym wobec **The Second Mrs. Tanqueray.** Do **Mazepy** czy **Lilli Wenedy** nie umywa się żaden romantyczny dramat angielski. Obok **Wesela** czy **Klątwy** biednie dramat Synge'a i Yeats'a. Nowy polski teatr nie powinien się obawiać nawet monumentalnych tragedii. A jeśli komedii potrzeba, jakiż kapitalny potencjał komediowy tkwi choćby w (melodramatycznym pod koniec, ale cóż z tego?!) **Fantazym,** albo w **Pierścieniu Wielkiej Damy!** (A nawet gdyby zamiast kawałków w rodzaju **Męża i żony** dać odpowiednio głęboko ujętego **Jowialskiego,** i to byłby jeszcze repertuar pierwszej klasy.) Argument zwiększonych kosztów w wypadku dramatu poetyckiego nie przemawia mi do przekonania. Liczba aktorów nie jest wcale większa. Sztuki mieszczańskie wymagające naturalistycznego potraktowania dekoracji, z pudełkową sceną i masą szczegółów wymagają większego wydatku niż sztuka poetycka, która umożliwia dekoracje typu wyobraźni: parę symbolicznych motywów oraz umiejętne operowanie światłami zastąpi tu całą rupieciarnię rekwizytów.

Nie należy zapominać także o sztukach nowych. Brać śmiało najlepsze pozycje krajowe, które na pewno będą się cieszyły powodzeniem (od **Drogi do Czarnolasu,** czy **Krzaku jarzębiny,** poprzez **Dwa teatry** i szereg innych ciekawych pozycji aż po **Sokratesa,** a choćby i **Męża doskonałego** Zawieyskiego). Na emigracji popierać rzeczywiste talenty, ale w żadnym wypadku nie przyjmować szmir przez protekcję, przez nepotyzm zawodowy czy czar podpisu „wielkiego nazwiska", bo nic dokumentniej nie zarzyna od złych nowych sztuk (starym sztukom się sporo wybacza). Wydaje mi się, że najlepiej opłacałaby się następująca proporcja repertuarowa: na każde sześć sztuk wystawionych powinny przypadać trzy sztuki poetyckie, względnie monumentalne, dwie nowe (współczesne) sztuki i jedna starannie dobrana sztuka z repertuaru nr. 2 (mieszczańsko-obyczajowego).

Wywodów powyższych nie traktuję jako dogmatycznego zakreślenia ram, w które chciałbym wtłoczyć emigracyjny teatr. Podtrzymuję jednak stanowczo główne twierdzenie, że bardziej eksperymentalne podejście i oscylacja w kierunku lepszego repertuaru jest jedyną szansą uratowania teatru. Wyboru sztuki, którą Robert Hopen otwarł swój teatr nie uważam za najlepszy, ale bynajmniej nie straciłem przekonania do jego przedsięwzięcia. Inicjatywa założenia polskiego klubu teatralnego stanowi sama w sobie rewolucyjne novum i pozwala mieć nadzieję, że kto się zdobył na tak śmiały krok, ten odbiegnie od szablonu i w doborze wystawianych sztuk. Liczymy więc na to, że w ślad za osiągnięciami organizacyjnymi przyjdą osiągnięcia artystyczne i dadzą nam wreszcie na emigracji Teatr, którego tak bardzo potrzebujemy.

Bolesław Taborski

* * *

OTWARCIE „TEATRU NOWEGO"

Dnia 18 lutego br. ks. kan. Wróbel dokonał poświęcenia „Teatru Nowego" w Londynie, założonego przez Roberta Hopena w nabytym przez niego lokalu dawnego Chepstow Theatre Club. Tego samego wieczoru odbyło się w nowym teatrze inauguracyjne przedstawienie sztuki Gabrieli Zapolskiej **Panna Maliczewska.** W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy p. Hopen stwierdził, że od poparcia polskiej publiczności będzie zależało, czy teatr ten w przyszłości będzie polski, czy angielski. Wiadomość o otwarciu teatru została wzmiankowana w teatralnej prasie brytyjskiej i p. Hopen otrzymał już oferty od zespołów i dramaturgów angielskich w sprawie wystawienia ich sztuk. P. Hopen wyjaśnił następnie, że Teatr Nowy istnieje na zasadzie klubu teatralnego. Widzami przedstawień teatralnych mogą być tylko członkowie, oraz ich rodziny i wprowadzeni goście. Członkiem klubu teatralnego może zostać każdy. Opłata członkowska jest nominalna i wynosi 2/6 rocznie. Członkowie będą otrzymywali zawiadomienia o wszystkich inscenizacjach bezpłatnie. Niezależnie od tego przy Teatrze Nowym istnieje klub brydżowy (opłata również 2/6 rocznie), oraz klub z kawiarnią i barem p.n. „Klub pod świeczką" (Candlelight Club). Pełna opłata członkowska uprawniająca do korzystania z baru wynosi 10/6 rocznie. P. Hopen oświadczył również, że z każdej opłaty członka klubu teatralnego (a więc z każdych 2/6) suma 1/6 przekazana będzie na rzecz Towarzystwa Przyjaciół Teatru.

Sala teatralna, foyer oraz sale klubowe urządzone zostały gustownie i przyjemnie przez p. Hopena, z pomocą p. Mikuły.

B. T.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

DEFORMOWANIE HISTORII. W „Figaro Littéraire" z dnia 19 lutego Claude Mauriac (syn znanego powieściopisarza François Mauriaca) poświęca swój cotygodniowy felieton filmowy obrazowi sowieckiemu „Upadek Berlina", który — choć powstał w roku 1949 — dopiero teraz pt. „La Chute de Berlin" wyświetlony został w Paryżu; poprzednio pokazywana była tylko część pierwsza. Zdaniem Mauriaca pełna wersja tego obrazu, którego twórcą jest Michał Cziaurelli, daje znacznie lepszy wgląd w Związek Sowiecki i jego mitologię niż dziesięć tomów z zakresu socjologii.

Owa mitologia, to wpajany dzieciom i młodzieży religijny niemal kult „piatiletek" oraz bałwochwalcze ubóstwienie (pamiętać trzeba, że obraz powstał sześć lat temu!) Stalina — przy czym dla zaznaczenia ciągłości historycznej wspomniani są także Piotr Wielki i Puszkin, jeden zaś z robotników fabrycznych recytuje Majakowskiego. To rajskie życie przerwane zostało brutalnie przez najazd hitlerowski. Tu w filmie spotykamy — pisze Mauriac — dużo pięknych i budzących wzruszenie obrazów, przedstawiających zniszczenia wojenne. Punkt ciężkości leży jednak w osobie Stalina, kierującego najpierw obroną, później zaś ofensywą i przybierającego coraz bardziej wymiary olimpijskie. Natomiast groteskowa karykatura Hitlera i jego marszałków przywodzi na myśl Grand Guignol paryski. Sceny bitew za to traktowane są na modłę mitologiczną.

Prawda historyczna jest w tym wszystkim systematycznie deformowana. „Kłamtwo — pisze Mauriac — jest tak grube, że rozbija zupełnie wiarogodność obrazów. Churchill w Jałcie jest ośmieszany niemal tak samo, jak w poprzednich scenach Hitler. Jeśli zaś Roosevelt pozornie traktowany jest z respektem, to niewątpliwie dlatego, że niestety na tej konferencji nie był przeciwnikiem zbyt niebezpiecznym. Za to Eisenhower przedstawiony został jako ostatnia nadzieja Hitlera, a Ameryka jako sukcesorka agresywnych Niemiec."

Zwycięstwo zamienia momentalnie piekło Berlina w jakiś olbrzymi kiermasz przy dźwiękach muzyki Szostakowicza. Stalin, coraz bardziej olimpijski, mówi: „Przed krajami miłującymi wolność otwiera się piękna przyszłość".

„Cóż za żenujący bezwstyd!" — dodaje od siebie Mauriac.

FUNDACJA ROCKEFELLERA DLA UCZONYCH EUROPEJSKICH

Wśród zasiłków przyznanych ostatnio przez Fundację Rockefellera znajduje się dar 41.000 funtów dla kolegium św. Antoniego w Oksfordzie. Fundusz ten ma służyć w przeciągu pięciu najbliższych lat na pomoc dla uczonych europejskich, studiujących w Oksfordzie. Doniesienia prasowe nie podają, czy pod określenie to podpadają także przebywający na emigracji uczeni z krajów, które znalazły się pod panowaniem sowieckim.

WIECZORY TEATRALNE

„PANNA MALICZEWSKA"

Sztuki Zapolskiej należą do światowych arcydzieł dramatycznych epoki naturalizmu. Nieprzemijająca świeżość ich problematyki i jakość sceniczna sprawiają, że grane dziś, po z górą pół wieku od czasu powstania, po tylu przewrotach społecznych, pozostają ciągle żywe, aktualne, a nawet palące W Kraju marksiści drukują Zapolską jako prekursorkę ich idej. Teatr emigracyjny, jeśli chce do repertuaru wstawić sztukę „pewną", sięga do twórczości Zapolskiej.

Nie dzieje się to wcale przez polski sentymentalizm. Zapolska rzadko w utworach dramatycznych porusza problemy narodowe. W zeszłym roku „Dulska" zdobywała laury w Rzymie i Mediolanie. Za życia Zapolska była głośną w całej Europie pisarką. Tłumaczono ją i wystawiano w Rosji, Czechach, Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Szwecji. Była ulubioną autorką teatrów kijowskiego, odeskiego, a nawet tyfliskiego. We własnej ojczyźnie zwalczano ją namiętnie jako gorszycielkę, niemal jako wszetecznicę. Aleksander Świętochowski rzucał w sądzie po podłodze tomami jej dzieł.

Dziś jest już jasne, że było to jedno z najostrzejszych piór w dziejach naszej literatury. Zdzierając z niezwykłą na swe czasy odwagą maskę mieszczańskiej niby to moralności, schylając się ku „nizinom" społecznym, znajdowała nie konflikty społeczne, lecz zło w duszach. Nie tu miejsce na ocenę twórczości Gabrieli Zapolskiej; wystarczy przypomnieć, że u podłoża niemal wszystkich jej dramatów znaleźć można stałe założenie: rzekomo niemoralne postacie z „nizin" zostały w dół zepchnięte przez rzeczników ładu i moralności; upadli tęsknią do czystego życia, natomiast brud i bagno zalega dusze obłudnych przedstawicieli „lepszych" warstw.

„Panna Maliczewska" była jedną z ostatnich sztuk Zapolskiej (r. 1911) i dzięki temu jedną z najdojrzalszych. W sztukę tę włożyła autorka bogate doświadczenia osobiste, gdyż przez parę lat sama była głośną artystką w paryskim teatrze Antoine'a, a potem pierwszorzędną aktorką scen krakowskiej i lwowskiej.

Czy to dobre znawstwo teatru, czy może instynkt słusznie podyktował Robertowi Hopenowi wybór „Panny Maliczewskiej" na otwarcie „Teatru Nowego" w Londynie. Wprowadzeniem tej sztuki złożył on hołd narodowej tradycji scenicznej i wybrał dzieło tzw. „nieśmiertelne", czyli ponadczasowe, którego konflikty nie płowieją po połowie wieku, a postaci nie trzeba wywlekać z gabinetu figur woskowych, bo tętnią one żywą krwią.

Hopen jako dyrektor, St. Belski jako reżyser i S. Mikuła jako dekorator przygotowali „Pannę Maliczewską" z ogromnym pietyzmem i drobiazgową starannością. Wszyscy aktorzy odegrali swoje role z przejęciem, ofiarnością, a nawet z entuzjazmem. Nie ma trudniejszej rzeczy, jak stawianie cenzurek w recenzji, toteż przy wszystkich dziewięciu nazwiskach piszę: bardzo dobra i bardzo dobry, z tym, że Maria Arczyńska, Klara Belska, Krystyna Dygatówna, Nina Oleńska, St. Belski, A. Bożyński i R. Hopen — z odznaczeniem, a E. Chudzyński i W. Dybowski — tylko bardzo dobrzy. Arczyńskiej i Hopena cenzurki dodatkowo bym podkreślił.

Dlaczego? Przecież Dygatówna grała świetnie, umiejąc połączyć wdzięk niewypierzonego trzpiota z rezygnacją upadłej dziewczyny. Otóż to: Dygatówna zagrała swą rolę zanadto dosłownie, co jeszcze bardziej rzucało się w oczy w grze Bożyńskiego. Mecenas Daum, to uosobienie podłości, a jego rozpacz z powodu syna nie jest boleścią ojca, lecz wstydem burżuja przyłapanego na łajdactwie. Bożyński zaś zagrał rolę Dauma tak tragicznie, że zrobił tę postać niemal sympatyczną, a przewrotne oskarżenie na pożegnanie Stefki: „To błoto" zamiast godzić w niego, godziło rzeczywiście trochę w pannę Maliczewską. W przeciwieństwie do niego, Hopen pokazał umiejętnie ohydę podwójnej moralności, wyłażącą spoza gładkich manier i czułych słówek.

Poza tym „Panna Maliczewska", jak każda wielka sztuka sceniczna, nie kończy się na osobistych dramatach. Jest to bowiem także, a nawet przede wszystkim, obraz społeczeństwa i epoki. Reżyser musi umieć wydobyć ze sztuki typowość postaci, wyobiektywizować je i podkreślić perspektywę czasu. Dygatówna np. powinna być trochę postacią ze starych magazynów ilustrowanych, jej sylwetka powinna być odrobinę groteskowa, jej styl nieco buffo.

W ogóle scena, to między innymi, jeśli nie przede wszystkim, obraz. Plastyka gestu i ruchu zamiera w teatrze emigracyjnym. Starą szkołę pamięta już tylko Wojtecki, a młodzi aktorzy poruszają się na scenie tak, jakby nigdy nie bywali w teatrze angielskim. Z „Panną Maliczewską" przepuszczono nadzwyczajną okazję. W interpretację „Teatru Nowego" zabłąkała się tylko jedna maleńka scenka plastyczna: Bożyńskiego pobierającego inhalację. Zmarnowano za to okrutnie scenę z recytacją Szekspira i mnóstwo innych.

Chlubny wyjątek stanowiła Maria Arczyńska, stwarzając typ równocześnie indywidualny, społeczny i mocno osadzony w epoce. Gdyby Arczyńska nie powiedziała nawet jednego słowa w sztuce, rola jej byłaby najbardziej ze wszystkich wymowna.

J. B.

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

MARZEC 1955

GLOSSATOR

POD ZNAKIEM SAMOKRYTYKI

(Po III Plenum Komitetu Centralnego partii komunistycznej w Polsce)

W dniach 21-24 stycznia obradowało w Warszawie III plenum KC PZPR, na ktorym referat zasadniczy wygłosił Bierut. Plenum powzięło trzy uchwały; pierwsza z nich dotyczy przestrzegania w działalności partii zasad leninowskich, druga — wzmocnienia kontroli nad działalnością organów bezpieczeństwa, trzecia — zadań gospodarczych na r. 1955. „Trybuna Ludu" ani „Nowe Drogi" nie ogłosiły tekstów tych uchwał, z komentarzy wszakże do obrad, zamieszczonych w obu pismach wynika, że były to uchwały wysoce samokrytyczne. Centralne władze partii, po raz pierwszy od afery Gomółki i Spychalskiego, weszły na drogę tzw. samokrytyki odgórnej, uzasadniając to celami wychowawczymi. „Komitet Centralny stwierdził — pisze „Trybuna" — że samokrytyka od góry najlepiej pomaga w rozwinięciu krytyki oddolnej".

FIKCJA KONTROLI

W systemie sowieckim krytyka zwana oddolną może dosięgnąć, i to nie często, najwyżej sekretarzy wojewódzkich organizacji partyjnych; działalność władz centralnych jest dla niej niedostępna. Na szczytach partii może istnieć tylko samokrytyka, której zasięg i treść ustala hierarchia partyjna. Samokrytyka „odgórna" ma zastępować, jak się zdaje, nieistniejącą kontrolę parlamentarną nad rządem, przyczynia się jednak w praktyce nie do ustalenia odpowiedzialności za błędy, lecz raczej do jej maskowania. Podłożem samokrytyki są zazwyczaj starannie tajone przed światem rozgrywki partyjne. Nie pomagając do ujawnienia winnych, pozwala ona na likwidację ludzi, których przeznaczono na kozły ofiarne. Niewiele warta jako narzędzie kontroli, ma duże walory jako camouflage. Malenkow w swym piśmie samokrytycznym do Rady Najwyższej ZSSR podał, jak to się sądzi powszechnie, fikcyjne powody rezygnacji.

Samokrytyka jest aktem skruchy dokonywanym przez jednostki biorące na siebie odpowiedzialność za niedomagania zespołu. Na trzecim plenum zasięg jej był szerszy: objęła ona cały zespół przeobrażając się w ten sposób w krytykę działalności instytucji. „Biuro Polityczne KC — pisze „Trybuna Ludu" — przedstawiło KC analizę braków i niedomagań... po przeprowadzeniu samokrytycznej oceny swojej własnej pracy". Samokrytyka kolegialna na szczytach partii, obejmująca jej najwyższy ośrodek dyspozycyjny, jest zjawiskiem wyjątkowym. Zastosowano ten drastyczny środek w celu „zapoczątkowania przełomu w partii, który jest jej tak bardzo potrzebny". Niedobrze więc musi być z partią.

SYMPTOMATYCZNY ARTYKUŁ

Można jednak sądzić, że nawet ta swoista samokrytyka nie sięgnęła tak głęboko jak tego wymagała sytuacja. 25 stycznia, a więc w dzień po zakończeniu obrad plenum, ukazał się w „Trybunie Ludu" artykuł pióra redaktora „Prawdy", D. Szepiłowa, będący przedrukiem z tego pisma; artykuł nosi tytuł „Generalna linia partii a wulgaryzatorzy marksizmu". Treścią artykułu jest ostra krytyka kilku ekonomistów sowieckich, którzy ogłosili prace poświęcone analizie kapitalistycznego i socjalistycznego systemu produkcji.

Celem produkcji kapitalistycznej — twierdzą ci ekonomiści — jest zysk kapitalisty, środkiem zaś zwiększenia zysków jest rozszerzenie produkcji. Kapitaliści nie dbają o potrzeby ludności, produkują w oderwaniu od spożycia, lecz chcą wytwarzać jak najwięcej, a w tym celu muszą rozwijać przede wszystkim produkcję środków wytwórczości czyli przemysł ciężki. W ustroju kapitalistycznym rozwój przemysłu ciężkiego wyprzedza produkcję środków spożycia.

Inaczej w stystemie socjalistycznym. Celem produkcji jest tu człowiek i jego potrzeby. Przeważający rozwój środków wytwarzania jest więc sprzeczny z socjalizmem. Na początku, gdy chodziło o stworzenie przemysłu w ZSSR, przewaga przemysłu ciężkiego była uzasadniona, lecz to już minęło. Przemysł sowiecki, chcąc być w zgodzie z podstawowym prawem ekonomicznym socjalizmu, musi zaspokajać przede wszystkim spożycie.

KARA ZA GORLIWOŚĆ

Twierdzenia te Szepiłow uznaje za herezję, nie dlatego jednak — że są sprzeczne z logiką i faktami: widzi on w nich sprzeczność z marksizmem - leninizmem i linią generalną partii. Pomijamy mętne rozważania na temat Marksa i Lenina, jeżeli zaś chodzi o linię partii, to jej zasadą — oświadcza Szepiłow — był i jest nadal forsowny rozwój przemysłu ciężkiego. Rozwój ten powinien wyprzedzać produkcję środków spożycia, gdyż tylko w ten sposób można osiągnąć wszechstronne zaspokojenie potrzeb ludności i zapewnić pogotowie obronne kraju. Gadatliwe wywody autora na ten temat są takim stekiem nonsensów i sprzeczności, że trudno się nimi zajmować. Wniosek jest jednak jasny: partia wraca na drogę polityki gospodarczej stalinizmu, z której nigdy zresztą na dobre nie zeszła i puszcza w niepamięć szumne obietnice poczynione ludności sowieckiej przed półtora rokiem przez Malenkowa i Chruszczowa.

Krytykowani przez Szepiłowa ekonomiści starali się, choć nieudolnie, uzasadnić ówczesny zwrot polityki partii w stronę człowieka i jego potrzeb, biorąc za rzecz trwałą to, co było jedynie objawem przejściowym i koniunkturalnym. Na tym polegał ich błąd. Za to zostali uznani za „wulgaryzatorów marksizmu" i „ekonomistów od siedmiu boleści". Ponoszą skutki swojej gorliwości.

Artykuł, inspirowany zapewne przez najwyższe czynniki partyjne ku pouczeniu satelitów, przyszedł widocznie zbyt późno i Bierut w swym referacie nie wyciągnął z niego konsekwencji.

NIE NA CZASIE

Referat ten jest interesujący nie tylko ze względu na rozgłośnie w nim brzmiące akcenty samokrytyczne; cechuje go też pewien nastrój niepewności, a może bezradności wobec wydarzeń, nie bardzo ulegających dyrektywom partii i wobec dołów partyjnych głuchych na pouczenia hierarchii. Gdy się czyta ten referat po ostatnich wydarzeniach w Związku Sowieckim, trudno nie zauważyć, jak mało wie Politbiuro warszawskie o kulisach rozgrywek na Kremlu; nie więcej zapewne niż publicyści na Zachodzie.

Motywem przewodnim referatu jest nawoływanie do przestrzegania leninowskich zasad życia partyjnego. Partia — ubolewa Bierut — zapomniała o tych zasadach. Na czym one polegają? Według Bieruta, na treść ich składają się trzy elementy: kolegialność, krytyka i samokrytyka oraz demokracja wewnątrz-partyjna.

Do zasdy rządów kolegialnych powraca Bierut kilkakrotnie, narzekając, że tej kolegialności jak nie było tak nie ma. Jest za to wyniosłość i zarozumialstwo członków instancji, układanie wszystkiego z góry, wąski praktycyzm, mechaniczne załatwianie spraw bieżących. Zjawiska te należy zwalczać, władze partii powinny brać przykład z ogromnego doświadczenia KPZR „ w walce z kultem jednostki, w walce o nowy styl życia partyjnego". Ogromne doświadczenia KPZR wskazują wprawdzie na coś wręcz przeciwnego, ale ten ustęp referatu jest charakterystyczny. Dotychczas bowiem sam Bierut protegował kult jednostki w swojej osobie, nie sprzeciwiał się bynajmniej wynoszeniu go przez propagandę na piedestał kieszonkowego Stalina. Ale sprawy nie stoją dobrze, bezpieczniej jest zejść z piedestału i schować się za plecami kolegium.

Wszystkie te nawoływania do kolegialności nie są zbytnio na czasie. Moskwa nie dała wprawdzie dotąd sygnału do odwrotu od rządów kolegialnych, kolegialność na szczytach partii nadal formalnie obowiązuje, lecz nad głowami członków rządzącego kolegium zaczyna zwolna wyrastać cień dyktatury. Nie nabrał on jeszcze wyraźnych kształtów, lecz proces walki o władzę, zapoczątkowany śmiercią Stalina, nadal się rozwija. A gdy na Kremlu zasiądzie nowy dyktator, krytyka oddolna zostanie sprowadzona do właściwych rozmiarów, a samokrytyka wróci do sal sądowych, na ławy skazańców bijących się rozgłośnie w piersi i wyznających nie popełnione grzechy.

WYBIELANIE PARTII

Fragment swego referatu poświęca Bierut nadużyciom organów bezpieczeństwa, nie wnosi jednak nic nowego do rewelacji ogłoszonych przez grudniowe „Nowe Drogi". Przyczyną nadużyć miał być „niedostateczny wzrost poziomu ideologicznego kadr, daleko posunięty separatyzm władz bezpieczeństwa, ich odrywanie się od życia partyjnego i osłabianie więzi z masami". Chodzi o wybielenie partii, o częściowe przynajmniej zdjęcie z niej odpowiedzialności za metody działania policji politycznej. Partia tych metod nie aprobowała, a jeżeli zawiniła, to tylko przez brak kontroli. „Niedostateczna była niewątpliwie kontrola kierownictwa partyjnego zarówno nad całokształtem działalności MBP, jak i zakresem jego zadań. Niektórzy odpowiedzialni pracownicy MBP, niedostatecznie kontrolowani, zawiedli zaufanie partii". A przecież, jeżeli wierzyć rewelacjom Światły, nic w MBP nie działo się bez wiedzy samego Bieruta.

SPRAWY GOSPODARCZE

Największą część swego gadatliwego referatu poświęca Bierut sprawom gospodarczym, przeprowadzając, po 10 miesiącach od drugiego zjazdu, analizę wykonania jego uchwał. Analiza wypada na ogół nieszczególnie. Rok 1954 przyniósł jakoby pewną poprawę warunków życia ludności, była ona jednak nierównomierna. Plan produkcji przemysłowej został w r. 1954 przekroczony o 2%, produkcja środków wytwórczych i środków spożycia wzrastała, zgodnie z uchwałami drugiego zjazdu, mniej więcej równomiernie, wzrost zaś wyniósł 11 %. Produkcja rolna wzrosła o 4,8%, lecz mimo znacznej pomocy państwa plan w tej dziedzinie został wykonany tylko w 98,1%, a w PGR-ach w 88%. Nie wykonano zadań w dziedzinie obniżki kosztów własnych produkcji: zamiast planowanych 7 miliardów zł oszczędności osiągnięto tylko 3 miliardy, a i ta cyfra, gdy się zestawi stałe narzekania prasy na brakoróbstwo i marnotrawstwo, wydaje się wątpliwa. Również wydatki na inwestycje nie przebiegały zgodnie z planem: przekroczono nakłady inwestycyjne na przemysł ciężki, nie wykonano planu inwestycji w rolnictwie.

Wydobywanie surowców jest nadal niedostateczne, w produkcji węgla powstały „poważne trudności". Produkcja stali wzrosła o 10% (Polska wytwarza obecnie około 4 mln ton stali), energii elektrycznej o 13%. W dziedzinie przemysłu lekkiego wytwarza się więcej wyrobów metalowych i elektrotechnicznych. Produkcja uboczna przedmiotów powszechnego użytku zawiodła. Polska nadal przywozi poważne ilości zboża i odczuwa dotkliwe braki w przemyśle mięsnym.

W r. 1953 powstało 3170 spółdzielni produkcyjnych, w r. 1954 tylko 1848, przy czym są one mniejsze zarówno pod względem liczby członków jak i obszaru ziemi. W posiadaniu POM-ów jest około 20 tysięcy traktorów, Mogłyby one wykonać roboty polne na obszarze 6 mln ha, lecz wykonały tylko na obszarze 4 mln ha.

WULGARYZACJA MARKSIZMU

Jaki jest plan na rok 1955? Produkcja przemysłowa ma wzrosnąć o 8,5%, w tym produkcja przemysłu ciężkiego o 6%, lekkiego o 11%, a w działach metalowym i elektrotechnicznym nawet o 33% Bierut przewiduje w latach najbliższych niedostateczny przyrost sił roboczych, liczy wszakże na wzrost wydajności pracy, co, jak wskazują dotychczasowe doświadczenia, jest rachubą zawodną. Produkcja rolna ma wzrosnąć o 6,2%.

Plan więc ustala, że przemysł lekki ma mieć pierwszeństwo przed ciężkim; przewidzianą w uchwałach drugiego zjazdu równomierność produkcji obu rodzajów przemysłu ma być naruszona na korzyść przemysłu lekkiego. Pachnie to, według wyrażenia Szepiłowa, „ekonomią od siedmiu boleści". Bierut oddaje wprawdzie ukłon w stronę stalinowskiej ortodoksji, lecz jest to ukłon z rezerwą. „Szybszy wzrost produkcji grupy B (tzn. przemysłu lekkiego) — oświadcza on — „może jednak stanowić tylko wyjątkowe zjawisko w normalnym wieloletnim cyklu planów gospodarczych. Warunkiem... realizacji podstawowego prawa ekonomicznego socjalizmu jest szybszy wzrost produkcji środków wytwórczości, w tym przede wszystkim szybszy wzrost produkcji maszyn". Rok 1955 ma więc być okresem przejściowym, po którym przyjdzie znowu kolej na realizację „ekonomicznych praw socjalizmu".

Mowa programowa Bułganina nie przewiduje jednak dla gospodarki sowieckiej żadnych okresów ulgowych, trudno zaś sobie wyobrazić, aby Moskwa godziła się na nie w państwach satelickich; nie pozwala na to ani polityka drążenia satelitów, ani presja sytuacji międzynarodowej i układów z Chinami. Jest tu jakieś potknięcie się Bieruta i jego doradców sowieckich, świadczące o pozostawaniu w tyle za rozwojem wydarzeń. Bierut trafił niechcący do grona „wulgaryzatorów marksizmu" i będzie zapewne zmuszony do wyrównania frontu. Artykuł Szepiłowa wylewa na projekty gospodarcze III plenum kubeł zimnej wody. Ale Kraj staje wobec nowego widma niedostatku.

„Partia nasza ma sobą wiele zwycięstw i nigdy jeszcze nie była tak silna jak obecnie" — oświadczył Bierut w końcu swego przemówienia. Ten optymistyczny finał w zestawieniu z treścią referatu musiał zabrzmieć w uszach słuchaczy rażąco fałszywie.

Glossator

W ŚLEPEJ ULICY

Już na kilka tygodni przed drugim zjazdem Związku Młodzieży Polskiej rozpoczęła się na łamach prasy krajowej inspirowana przez czynniki partyjne dyskusja nad sprawami młodzieży. Dyskusja obfitowała w ostre akcenty krytyczne i wykazała — według słów „Trybuny Ludu" — poważne zaniedbania w wychowywaniu młodzieży, nie mniej jednak „Trybuna" wyraziła zadowolenie z jej przebiegu: obarczyła ona odpowiedzialnością za zaniedbania nie tylko ZMP, lecz także „ogniwa partii, organizacje masowe, nauczycielstwo, administrację państwową i inteligencję twórczą". Wszyscy są zatem winni, odpowiedzialność uległa rozproszeniu; wszyscy, nie tylko partia, winni się przyznać do błędów i dążyć do ich naprawy.

Zjazd ZMP odbył się w dniach 26 stycznia — 1 lutego. Wzięło w nim udział 1200 delegatów, podających się za reprezentację 2 milionów młodzieży zorganizowanej w Związku; przybyły też na zjazd delegacje młodzieży z państw satelickich, że Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, z Chin, i delegacja komsomołu. Zagaił zjazd Bierut, w którego przemówieniu powtarzały się motywy jego referatu na III plenum KC. Wyrzucał on ZMP słabe postępy w pracy na wsi, małą troskę o „sprawy bytowe" młodzieży i brak dbałości o jej kulturalne rozrywki.

Referat zasadniczy wygłosiła przewodnicząca Zarządu Głównego ZMP, Helena Jaworska. Odtworzyła ona raz jeszcze niektóre fragmenty referatu Bieruta na III plenum, nawołując młodych robotników do podniesienia wydajności pracy i wzmożenia produkcji. Nie zapomniała też o obowiązku krytyki i samokrytyki, przeplatanej frazesami o moralności socjalistycznej. Była więc mowa o łamaniu ustaw, o oszukiwaniu młodzieży przez „rozmaitych miejscowych kacyków", o fałszywym obliczaniu zarobków robotniczych, o braku zainteresowania warunkami życia młodzieży robotniczej i szkolnej, o szerzącym się wśród młodzieży pijaństwie i chuligaństwie. Aktywiści ZMP, nie wyłączając członków Zarządu Głównego, wykazywali „nieznośne zarozumialstwo", sekciarstwo i oportunizm oraz skłonności do rozkazywania i nieliczenia się z wolą młodzieży. Wszystko to musi się zmienić, a przede wszystkim liczba członków Związku powinna znacznie wzrosnąć. Związek liczy obecnie 2 miliony 18 tysięcy członków, obejmując niewiele ponad 37% ogółu młodzieży. Słabe są zwłaszcza wpływy Związku na wsi: na ogólną liczbę ponad 3 mln. 150 tys. młodzieży wiejskiej należy do Związku niewiele ponad 450 tys., tj. 14,5%. W województwach przeważająco rolniczych procent ten jest jeszcze niższy: w woj. białostockim wynosi on 8,1, w woj. warszawskim 11,8. Niepomyślnie też wygląda skład socjalny Związku: w składzie tym jest tylko 50% młodzieży robotniczej, górników 27%, młodzieży Nowej Huty 33%.

DYSKUSJA

Po referacie odbyła się dyskusja, w której powtarzały się często głosy krytyczne wysuwane już przed zjazdem; młodzież ZMP-owska podchwyciła ochotnie gromkie nawoływania do krytyki „oddolnej", nie szczędząc przykrych słów władzom Związku. „Dziś"— jak ktoś się wyraził na zjeździe — „trzeba mieć odwagę, żeby nie krytykować Zarządu Głównego". I w tym więc krytycznym zapale młodzieży, który zaraził nawet kadry aktywistów, było coś niecoś nakazu z góry.

Przytaczamy niektóre głosy. Sekretarz Zarządu Głównego, Leon Janczak, wygłaszał poglądy quasi rewolucyjne. „Młodzież" — oświadczał on — „ma prawo do swojego własnego zdania, ma prawo z nami się nie godzić, niekoniecznie musi mieć takie poglądy, jak my byśmy chcieli, jakie są zawarte w naszych instrukcjach". Oświadczenie trąci herezją, bo cóż by się w takim razie stało z ideologią marksizmu-leninizmu? „W pracy Zarządu Głównego, w pracy sekretariatu Zarządu... było dużo samozadowolenia, mało natomiast samokrytycyzmu... Sekretarze nie przeciwdziałali dostatecznie tej atmosferze samouspokojenia i samozadowolenia... Przeważały niedobre tendencje, które można określić słowami: nasza chata z kraju".

Podobne motywy brzmią w wystąpieniu przewodniczącego zarządu stołecznego ZMP, Jerzego Wołczyka. „Wydział propagandy Zarządu Głównego... ustalił odpowiednią receptę na pracę i ideologię: określone instrukcją tematy szkolenia ideologicznego, określone instrukcją tematy książek do dyskusji, określone instrukcją tematy odczytów dla młodzieży... Ślepa wiara w instrukcje... bezmyślna wiara, że narada i odprawa to jedyny sposób na braki i niedomagania, oto co się składa na istotne słabości w pracy Zarządu Głównego".

Zdawałoby się, że obaj mówcy przebrali miarę, nie przeszkodziło im to jednak w ponownym wyborze do prezydium Zarządu Głównego.

DALEJ JAK W REFERACIE...

Uczennica liceum we Włocławku opisuje przebieg zebrań ZMP w swojej szkole. „Tematem jednego z zebrań była odbudowa Warszawy. Rozpoczęło się ono z półtoragodzinnym opóźnieniem; przyszło ok. 30 osób, z których 15 przewodniczący powołał do prezydium. Zagajenie zebrania trwało czterdzieści minut, jego tematem było uniknięcie nudy na zebraniach młodzieży, po czym zabrał głos członek zarządu dla wygłoszenia referatu. Referat miał trzydzieści kilka stron maszynopisu, tonął w powodzi nic nie znaczących frazesów i powtarzał kilkakrotnie powszechnie znane fakty. Po zakończeniu referatu przystąpiono do następnego z 20 punktów porządku dziennego, tj. do dyskusji. Zabrało głos trzech czy czterech uprzednio wyznaczonych mówców. Pierwszy z nich zaczął: „Towarzysze, wysiłkiem ludu pracującego miast i wsi, wysiłkiem całego narodu została odbudowana w Warszawie MDM, elektrownia na Żeraniu... — dalej jak w referacie.

Co robią pozostali uczestnicy takich zebrań? Siedzący w prezydium ziewają i walczą ze snem, reszta po prostu drzemie. Po zebraniach, organizowanych natychmiast po pracy, zapowiada się nieraz zabawę. „Teraz bawimy się, koledzy" — obwieszcza przewodniczący. Kto ma ochotę na zabawę, gdy jest głodny i zmęczony — pyta uczennica z rozbrajającą szczerością.

Inny mówca opowiadał o „dławieniu" krytyki. „Występuje zetempowiec, krytykuje kogoś, mówi często bardzo ogólnie, bo tak mu łatwiej mówić". Pada pytanie: „Poczekajcie, towarzyszu, kto wam to powiedział?" Na sali zapada milczenie.

BEZRADNOŚĆ

Prasa krajowa streszczając te głosy w dyskusji, robi dobrą minę do złej gry. Bo gra jest zdecydowanie zła. Dziesięć lat rządów komunistycznych, tysiące instruktorów i aktywistów, kosztowny wysiłek propagandy — wszystko to nie zdołało opanować młodzieży. Mit wychowania „nowego człowieka", wolnego od „przesądów burżuazyjnych" i pogodzonego z życiem w niewoli, rozpada się w zetknięciu z martwotą bezdusznej doktryny. Młodzież pod skorupą komunistycznej propagandy żyje swym własnym życiem, lecz, odcinana od opieki rodziny i Kościoła, szuka nieraz ucieczki od beznadziejnej rzeczywistości w pijaństwie i chuligaństwie. I tu rysuje się ostro bezradność reżymu. Jakie bowiem środki mają włączyć oporną młodzież w nurt „budownictwa socjalistycznego?" Środkiem podstawowym ma być objęcie przez Związek młodzieży dotąd niezorganizowanej. Lecz gdy partia nie może dać sobie rady z obecnymi dwoma milionami członków, na co liczy, gdy **per fias et nefas** zwerbuje jeszcze dwa miliony? Sekretarz Zarządu Głównego, Jan Szydlak, referując projekt nowego statutu ZMP, polemizował z obawą niektórych aktywistów, że „demokratyzm" tego statutu i nacisk na masowość Związku wywoła jego „rozpłynięcie się w masach". Związek przestanie być „organizacją przodującą", utraci możność realizacji swych celów polityczno-wychowawczych.

Z punktu widzenia dobrego komunisty obawy te nie są pozbawione podstaw, partia wszakże uznała je za sekciarstwo. Nie wolno — poucza „Sztandar Młodych" — ograniczać uczestnictwa w Związku do młodzieży przodującej; powinien on obejmować również młodzież niedojrzałą, którą dopiero należenie do Związku przeobrazi w przodującą. Pogląd taki, na tle oceny dotychczasowej działalności Związku przez uczestników zjazdu, wygląda groteskowo.

L. K.

Wobec zniesienia religii w szkole

Wobec wielkiego oburzenia wśród rodziców, jakie wywołał fakt usunięcia z początkiem roku szkolnego nauki religii z programów szkolnych, komunistyczne gazety usiłują tłumaczyć, że było to „konieczne dla skuteczności pracy wychowawczej". Równocześnie gazety obrzucają tych, którzy by inaczej o tym sądzili, epitetami „zacofania, reakcji i niedemokratycznego nastawienia". Aż do ostatniego roku szkolnego komuniści usuwali religię ze szkół, walczyli z katechetami, zakładali ateistyczne szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, nie odważyli się jednak całkowicie wykreślić z programów szkolnych nauki religii. Dopiero z początkiem obecnego roku szkolnego po prostu opuścili ten przedmiot i usiłowali milczeniem pokryć nowe antyreligijne zarządzenie. Rodzice jednak poczęli się domagać wyjaśnienia i żądali dalszej nauki religii. Wobec tego prasa komunistyczna zajęła się tłumaczeniem powodów, dla których „rząd Polski Ludowej" usunął religię ze szkół. W tej sprawie pisze miesięcznik dla tak zwanych komitetów rodzicielskich „Szkoła i Dom", co następuje:

„Pierwsze dni roku szkolnego pokazały, że niedobitki reakcji kierują swoje wsteczne oddziaływanie na szkołę głównie przez część mniej uświadomionych rodziców... Zmiany, wprowadzone w treści i metodach pracy szkolnej, mają na celu jedynie wzmocnienie skuteczności pracy wychowawczej. Systematycznie współpracujący ze szkołą rodzicę, którzy z bliska poznali trudną pracę wychowawczą, z łatwością wyjaśnią pozostałym, że dotychczasowy stan w szkołach, gdzie lekcje religii przeplatały się w planie lekcyjnym w ciągu całego dnia z obowiązkowymi przedmiotami nauczania, stwarzał obiektywne warunki przymusu uczęszczania na religię w stosunku do młodzieży niewierzącej, lub wytwarzał wobec niej atmosferę wrogości, inspirowanej przez elementy reakcyjne. Stan ten prowadził do podziału na wierzących i niewierzących oraz utrudniał stworzenie kolektywu w szkole. Należy pamiętać, że zasadniczym celem wprowadzonych zmian jest usunięcie raz na zawsze warunków, powodujących podział uczniów na wierzących i niewierzących, warunków wytwarzających między nimi niepożądane antagonizmy, a nawet wzajemną wrogość."

W tłumaczeniu tym mieści się szereg kłamstw i obłudna troska o rzekome dobro uczącej się młodzieży. Przede wszystkim w komunistycznej szkole nie tylko nikogo nie zmuszano do uczęszczania na lekcje religii, ale wprost przeciwnie propagowano energicznie ateizm i używano godzin przeznaczonych na religię na różne zebrania komunistyczne i posiedzenia „kolektywu szkolnego". Popularność katechetów była kością w gardle dla komunistycznych aktywistów. Podział „na wierzących i niewierzących" jest innym kłamstwem. Ludność w Polsce w 92 procentach należy do Kościoła katolickiego i pragnie religijnego wychowania swych dzieci. Ateistyczne lub wybitnie komunistyczne jednostki mają do dyspozycji w każdym mieście ateistyczne szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Komuniści, nie chcąc mówić prawdy, używają kłamstw dla dopięcia swych celów, mając nadzieję oszukania ludności. Jednym z takich kłamstw jest stale powtarzane, przez wszystkie ośrodki komunistycznej propagandy, zdanie, że „dopiero władza ludowa stworzyła warunki prawdziwej wolności sumienia i wyznania dla każdego obywatela".

(I. C.)

KRONIKA KRAJOWA

PRZYGRYWKI

Artykuły i korespondencje w prasie krajowej ze stycznia mają przeważnie charakter przygrywek do dwóch najważniejszych wydarzeń tego miesiąca: III plenum KC PZPR i II zjazdu ZMP. Prasa — jakby przygotowuje swoich czytelników do tej lawiny krytyki i samokrytyki, jaka się potoczyła na posiedzeniu Komitetu Centralnego i zjeździe młodzieży. Krytyka i samokrytyka stały się hasłem dnia podjętym ochotnie nawet przez karne szeregi aktywistów partyjnych. Ostrożniejsi zajęli wszakże postawę wyczekującą, traktując te liberalne zapędy reżymu jako objaw przejściowy. Zdarza się — pisze „Trybuna Ludu" — „słyszeć takie oto sentencje: teraz jest moda na szczerość, na śmiałą krytykę, na odwagę. Ale ta moda przeminie. Ja ją przeczekam..." „Trybuna" piętnuje tych sceptyków, zarzucając im cynizm i obłudę, upieranie się przy swych błędach, a co gorsza, podejrzewanie partii o dwulicowość. Partia dała dowody, choćby przez reorganizację urzędów bezpieczeństwa i zmianę stosunku do ludzi klasowo obcych, lecz lojalnych względem władzy ludowej, że nie cofa się przed ujawnieniem błędów i ich tępieniem. „Ta moda nie przeminie" — oświadcza stanowczo pismo.

A jednak wydaje się, że przeminie, bo od strony Moskwy już w lutym powiały nowe wiatry...

Na razie „Trybuna" zajmuje się kierownikami organizacji partyjnych, którzy bądź wcale nie reagują na krytykę, bądź też „odwalają wyjaśnienia będące w istocie rzeczy zaciemnieniem sprawy". Długa lista tych opornych nie świadczy, aby nakazy natychmiastowej reakcji na krytykę były skuteczne. Sekretarze komitetów partyjnych nic sobie z doniesień krytycznych nie robią. „Dlaczego" — pyta korespondent pisma — „nie karze się najbardziej opornych, którzy nie reagują na krytykę i demoralizują tym samym innych? Czy uchwała nie przewiduje żadnych sankcji karnych za uporczywe niezałatwianie lub wręcz ignorowanie krytyki i zażaleń?"

Przedmiotem ubolewań „Trybuny" jest jednak nie tylko mała skuteczność krytyki jako narzędzia naprawy ustroju; pismo ubolewa również nad nieprzestrzeganiem zasady kolegialności w pracy komitetów partyjnych. Jak wyglądają posiedzenia tych komitetów? Zebrani wysłuchują opracowanego przez egzekutywę referatu, zgadzając się zawczasu ze wszystkimi jego wskazaniami. Dyskusja jest uboga, deklaratywna. Wśród działaczy partyjnych wytworzyło się przekonanie, że „egzekutywa stoi ponad komitetem, a komitet jest jakimś ciałem na wpół fikcyjnym, na wpół honorowym". Konsekwencją takiego przekonania jest pogląd, że „nie decyzje plenum obowiązują egzekutywę, a odwrotnie — decyzje egzekutywy obowiązują plenum". Dla uzupełnienia obrazu trzeba dodać, że egzekutywa — to w istocie rzeczy sekretarz organizacji partyjnej. On jest właściwym panem powiatu i województwa, umiejącym w razie potrzeby zamknąć skutecznie usta zbyt pochopnym krytykom. Tak praktycznie wygląda „demokracja wewnątrzpartyjna", będąca, według oświadczeń prowodyrów komunistycznych, kamieniem węgielnym działalności partii.

Na nieprzestrzeganie „demokracji wewnątrzpartyjnej" skarży się również „Trybuna" w bilansie osiągnięć partii, jaki próbuje zrobić na początku roku. Bilans jest nacechowany umiarkowanym optymizmem, tytuł artykułu „Jesteśmy silniejsi", lecz jego treść nie bardzo odpowiada temu założeniu. Wyliczywszy, przyjętym zwyczajem, osiągnięcia gospodarcze roku ubiegłego, pismo stwierdza, że „na wielu odcinkach", zwłaszcza w dziedzinie obniżenia kosztów produkcji i walki z marnotrawstwem, uchwały drugiego zjazdu nie zostały wykonane. Postępy produkcji rolnej są niedostateczne. Poprawa tego stanu rzeczy wymaga „uporczywej walki o zacieśnienie więzi władzy ludowej z masami pracującymi, z narodem, szczerej, uczciwej rozmowy z masami". „Nie mamy niczego do ukrywania przed narodem" — oświadcza pismo. Z rewelacji Józefa Światły wynika, że było jednak sporo do ukrywania.

Obraz szkicowany przez „Trybunę" zawiera, może wbrew jej intencjom, więcej cieni niż świateł. Partia, po dziesięciu latach rządów, zdaje sobie sprawę ze swej obcości dla społeczeństwa i pragnie ją przełamać. Ku temu zmierzają uporczywe nawoływania do krytyki „oddolnej" i sentencje o „uczciwej rozmowie z narodem". Uczciwa rozmowa, gdyby stać było na nią partię, musiałaby się skończyć spakowaniem przez nią manatków i wyjazdem do „ojczyzny zwycięskiego socjalizmu". Prowodyrów partyjnych nie można jednak posądzać o naiwność; są po prostu obłudni.

SKŁAD SOCJALNY

Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Chemicznego z siedzibą w Stalinogrodzie (Katowicach) rozesłał zarządom związków podległych instrukcję o terminach związkowych konferencji zakładowych. Instrukcja głosi m.in.: „Poniżej podajemy skład socjalny, jaki winien być utrzymany przy wyborach do ogniw związkowych i instancji: mężczyzn 60%, kobiet — 35%, partyjnych — 40%, bezpartyjnych — 60%, młodzieży — 35%, przodowników — 10%, racjonalizatorów — 10%, inżynierów i techników 15%. Podpisali instrukcję Adolf Miś i Stanisława Wspaniała.

Nomen omen, instrukcja bowiem jest istotnie wspaniała. Choć idzie ona zapewne ściśle po linii dyrektyw partii, wymaga jednak od organizatorów konferencji nie byle jakiej znajomości matematyki. Zagadką też pozostają twory bezpłciowe pozostałe po odliczeniu 95% mężczyzn i kobiet.

KSIĄŻKA

Co się czyta obecnie w Polsce? — zadaje pytanie „Trybuna Ludu". Pismu nie chodzi o to, co czytają środowiska inteligenckie, lecz jaka lektura znajduje dostęp do chłopa na wsi, robotnika w fabryce, ucznia, traktorzysty. Pierwsze miejsce na liście poczytności autorów zajmuje Prus, po nim Orzeszkowa, następnie Polewoj i Gorki, każdy z jedną powieścią, wreszcie Sienkiewicz i Kraszewski. Czytelnika, zdaniem „Trybuny", interesuje przede wszystkim fabuła powieści, podana barwnie i zajmująco, a nie jej tło polityczno-społeczne. Tym się tłumaczy słaba poczytność powieści współczesnych: Zieliński, Kogut, Konwicki, Braun widnieją na końcu listy czytelnictwa.

Co czyta młodzież, zwłaszcza szkolna? Lubuje się ona w powieściach erotyczno-sensacyjnych, podróżniczych i zawierających opisy przygód. Powodzenie ma Courts-Mahlerowa; w jednej ze szkół warszawskich krąży w ręcznym odpisie „Trędowata"; uczniowie kupują za drogie pieniądze powieści Maya z wózków z książkami. Nie ma w bibliotekach powieści dla młodzieży w lepszym stylu, Vernego, Londona, Twaina bądź Curwooda, młodzież więc, w ich braku sięga po szmirę.

„Trybuna" pragnie wzmocnić poczytność autorów współczesnych przez szersze organizowanie tzw. konkursów czytelniczych, obawiać się jednak trzeba, że byłoby to przedsięwzięcie beznadziejne. Od socrealizmu uciekają nie tylko ludzie o wyrobionym smaku artystycznym, ucieka od niego również chłop na wsi, robotnik w fabryce, uczeń i traktorzysta.

SMUTNA ROCZNICA

Z okazji dziesięciolecia „wyzwolenia" Warszawy przez wojska sowieckie odbyła się uroczysta sesja stołecznej rady narodowej, na której wiernopoddańcze przemówienie wygłosił przewodniczący prezydium tej rady, J. Albrecht. Następnego dnia Cyrankiewicz urządził przyjęcie dla komunistycznej elity.

ROCZNICA REWOLUCJI

Z okazji 50 rocznicy rewolucji 1905 — 1907 roku odbyła się w Warszawie w hali ZS „Gwardia" akademia, na której przemówienia okolicznościowe wygłosili Bierut i T. Daniszewski, kierownik wydziału historii partii KC PZPR. Przemówienia obfitowały w zniekształcenia historii. Jednocześnie spadł deszcz odznaczeń na uczestników rewolucji.

SŁUŻBA ZDROWIA

Organizacja służby zdrowia uchodzi za jedno z podstawowych osiągnięć „budownictwa socjalizmu", rzeczywistość wszakże przedstawia się niepocieszająco. Z pomocy lekarskiej korzysta znacznie więcej osób niż przed wojną, co się tłumaczy w dużej mierze nędznymi warunkami życia sprzyjającymi powstawaniu chorób, lecz uzyskanie tej pomocy jest połączone z wieloma trudnościami.

W Warszawie, gdzie pomoc lekarska jest lepiej zorganizowana niż na prowincji, chory, aby zostać przyjętym przez lekarza, musi przychodzić do ambulatorium kilkakrotnie i czekać długie godziny w poczekalni, często brudnej i zaniedbanej; w niektórych poczekalniach nie ma nawet ławek do siedzenia, chorzy stoją godzinami pod ścianą. Rejestratorki wydające „numerki" są nieuczynne i opryskliwe, często udzielają błędnych informacji, powodując błądzenie chorego od okienka do okienka. O kolejności przyjęcia przez lekarza rozstrzyga wyłącznie numerek, choćby pacjent miał silne bóle lub wysoką gorączkę. W niektórych przychodniach numerki wydaje się rano, a lekarz przychodzi po południu. Nieraz wyczekiwanie jest daremne, bo lekarz ma dyżur w szpitalu, o czym nie wie rejestratorka.

Lekarzy w stolicy jest za mało, 35 rejonów lekarskich jest nie obsadzonych; za mało jest też przychodni.

Gorzej jeszcze wygląda sprawa pomocy lekarskiej na wsi. W Polsce, według obliczeń „Trybuny Ludu", przypada 5,4 lekarza na 10.000 mieszkańców, na wsi ten stosunek wynosi 1 lekarz na 18.000 mieszkańców. Lekarze trzymają się miast, niechętnie idą na wieś i mają po temu aż nadto słuszne powody. Lekarz przybywający na wieś nie ma gdzie mieszkać, wielu mieszka w małych i nędznych izdebkach, niektórzy wracają do miast nie mając gdzie się podziać. Teren działalności lekarza wiejskiego jest zwykle rozległy, a brak środków lokomocji. Lekarz musi często nocą, po błocie i deszczu, brnąć pieszo do chorego. Ministerstwo Zdrowia umożliwiło w r. ub. lekarzom nabycie pewnej ilości motocyklów i rowerów, można sobie jednak wyobrazić, jak wygląda lekarz, który przez kałuże i roztopy pedałuje do chorego na rowerze

Dostawszy się na wieś, lekarz traci możność doskonalenia się w swym zawodzie, zostaje odcięty od kursów lekarskich, szpitali i klinik. Tymczasem, w braku sił wykwalifikowanych, wysyła się na wieś ludzi młodych natychmiast po ukończeniu uczelni, bez praktyki szpitalnej lub klinicznej. Łatwo zdać sobie sprawę, jak leczą.

Niedostateczna też jest liczba szpitali. Ilość ich w stosunku do okresu przedwojennego jakoby wzrosła, lecz korzysta z nich prawie pięciokrotnie więcej osób niż przed wojną. W szpitalach brak wykwalifikowanej opieki pielęgniarskiej. Pielęgniarkami są zwykle młode dziewczęta, szkolone na krótkich kursach, nie mające praktyki ani doświadczenia. Stan sanitarny szpitali, np. sprawa bielizny szpitalnej, pozostawia wiele do życzenia.

Do tego dochodzą trudności w nabywaniu lekarstw, a nieraz ich brak. Organizacja służby zdrowia w Polsce przedwojennej nie była wzorowa, obecnie jednak należy do jednej z bardziej zaniedbanych dziedzin działalności „władzy ludowej".

CZYSTKA

Komentując uchwały III plenum o wzmocnieniu kontroli nad organami bezpieczeństwa, „Trybuna Ludu" informuje, że został aresztowany i przekazany władzom sądowym Jacek Różański, b. dyrektor departamentu śledczego MBP, inny zaś dyrektor departamentu, Anatol Feigin, który „stoczył się na pozycje antypartyjne", został wykluczony z partii. Ten sam los spotkał b. członka KC PZPR i b. wiceministra MBP, Romana Romkowskiego. Są to pierwsze ofiary czystki.

BRAKORÓBSTWO

„Życie Warszawy" powraca do plagi brakoróbstwa panoszącego się nadal w przemyśle, przypominając, że istnieje dekret Rady Państwa z 4 marca 1953 r. nakładający karę więzienia do lat 5, a w niektórych wypadkach nawet do lat 10, za wprowadzanie do obrotu wyrobów złej jakości. Pismo przytacza kilka wyroków sądowych, w których zastosowano ten dekret, lecz ubolewa, że wyroki takie zapadają rzadko, gdyż zbyt mało tego rodzaju spraw wpływa do sądów. „Ze strony kierownictwa wielu zakładów przemysłowych i centralnych zarządów występuje wyraźne dążenie do ukrywania winnych brakoróbstwa".

Dążenie takie jest zrozumiałe, gdyż brakoróbstwo nie zawsze ma swą przyczynę w złej woli lub niedbalstwie robotnika bądź jego kontrolerów: właściwe jego podłoże tkwi najczęściej w specyficznych cechach gospodarki socjalistycznej, wygórowanych normach planów, niedostarczaniu na czas surowców, przestojach maszyn, braku odpowiednich urządzeń. Walka z wypaczeniami tego rodzaju za pomocą drakońskich represji jest walką z wiatrakami.

POWRÓT RZEMIEŚLNIKÓW

Zapowiadane wielokrotnie powiększenie liczby tzw. punktów usługowych wywołało wzrost zapotrzebowania na rzemieślników; w r. 1955, jak informuje „Życie Warszawy", potrzeba ich będzie 40 tysięcy. Naukę rzemiosła kończy w tym roku ok. 5000 osób, z czego ok. 3000 przejdzie do spółdzielczych punktów usługowych. Powstaje brak 37 tysięcy rzemieślników. Skąd ich wziąć?

W tym kłopocie administracja przypomina sobie, że w Polsce są tysiące wykwalifikowanych rzemieślników, którzy wskutek szykan i prześladowania rzemiosła indywidualnego porzucili swój zawód i przeszli do innych zajęć. Wykwalifikowani zegarmistrze pracują jako dozorcy w przedsiębiorstwach budowlanych, krawcy są kierownikami handlowymi w PSS, kowale pełnią funkcje listonoszów, wszystko to w miejscowościach gdzie brak zegarmistrzów, krawców i kowali. Inna, równie liczna kategoria rzemieślników, pełni swój zawód dorywczo i pokątnie, nie płacąc podatków i kryjąc się przed argusowym okiem władzy.

Wszystkim tym przesiadowanym niedobitkom gospodarki burżuazyjnej otwiera się obecnie szeroko wrota powrotu do zawodu. Rzemieślnik otwierający ponownie swój warsztat ma prawo do pożyczki bankowej i otrzymuje obietnicę pomocy w uzyskaniu lokalu. Jeżeli ma odpowiednie kwalifikacje, dostanie bez trudu kartę rzemieślniczą. Rzemieślników pracujących pokątnie skłania się do rejestracji i obiecuje im się „amnestię" podatkową. Akcja ta dała już, według „Życia Warszawy", wyniki konkretne. W województwie łódzkim rzemieślnicy otworzyli ponownie w ciągu dwu kwartałów r. ub. 550 warsztatów; w jednym tylko powiecie w dwa tygodnie zarejestrowało się 50 rzemieślników. W III kwartale r. ub. otwarto w całym kraju 2500 warsztatów rzemieślniczych, w tym około 1000 na wsi. Wielu rzemieślników odnosi się jednak nieufnie do nowego kursu.

W ustrojach typu sowieckiego nieczęsto się zdarza, aby doktryna ustępowała przed życiem; jeżeli się wszak ze zdarza, to ustępstwo takie ma zazwyczaj charakter czasowy, jest przygotowaniem do nowego, celniejszego uderzenia: reculer pour mieux sauter. Nieufność rzemieślników jest zatem zrozumiała.

DOBOSZYŃSKI

Józef Światło, komunistyczny dygnitarz i paskudna figura Bezpieki, zbiegły na Zachód w wyniku którejś z tak częstych i tak trudnych dla nas do połapania się w nich kłótni w komunistycznej rodzinie (bodaj, w wyniku upadku Berii i jego kliki), stał się teraz dla nas prawdziwą kopalnią zakulisowych informacji o tym, co się dzieje wewnątrz reżymowego gniazda szerszeni. Zawdzięczamy mu między innymi garść źródłowych informacji o tragicznym losie Adama Doboszyńskiego, w którego „sprawie" towarzysz Światło zdaje się grubo maczał palce. Dowiedzieliśmy się, w jaki sposób Doboszyński był męczony. Dowiedzieliśmy się także, że wbrew odmiennym, kursującym na emigracji pogłoskom, wyrok śmierci został na nim w istocie wykonany.

Doboszyński związany był z „Veritasem" wcale bliskimi węzłami. Spędził lata wojny w Anglii, był członkiem koła św. Stanisława w Londynie (będącego jednym z kół PKSU „Veritas"), był także ściśle związany z Katolickim Funduszem Wydawniczym, będącym jedną z imprez księgarskich, z których się następnie wyłoniła akcja wydawnicza katolicka, znajdująca wyraz w Fundacji „Veritas" i w „ŻYCIU". Należy mu się więc na łamach ŻYCIA wspomnienie.

Znałem Doboszyńskiego dobrze przed wojną, a w latach 1945 i 1946 stykałem się z nim często w Londynie. Pragnę poświęcić mu niniejszy felieton

Doboszyński był człowiekiem o tylu aspektach życia i działalności, o karierze życiowej tak różnobarwnej, o obliczu mieniącym się tylu możliwościami, że można by napisać kilka jego życiorysów, ujętych pod różnymi kątami widzenia, które robiłyby wrażenie życiorysów kilku całkiem do siebie niepodobnych ludzi. Polityk, publicysta, ekonomista, ideolog katolicki, żołnierz, rewolucjonista w trochę anarchicznym stylu, więzień — wszystkim tym był ten sam szczupły, wysoki blondyn, o ostrym, męskim profilu, przenikliwych, niebieskich oczach i jasnych włosach, gładko zaczesanych, a czasem opadających na czoło.

Zakończenie jego życia było niezwykle tragiczne. Stał się on bohaterem starannie wyreżyserowanego procesu pokazowego, w którym komunistyczna perfidia zrobiła mu największą krzywdę, jaką można człowiekowi zrobić, mianowicie uczyniła go — zdrajcą ojczyzny. Adam Doboszyński został rozstrzelany jako zdrajca, rzekomo winny współpracy w czasie wojny z Niemcami. Czytałem wydaną w Polsce przez komunistów książkę o jego procesie — i podziwiałem jej szatańską przewrotność. Składała się ona z 90 % prawdy i 10 % kłamstwa, tak z sobą zmieszanych, że tylko najbardziej doświadczone i przenikliwe oko jest w stanie je od siebie oddzielić. Ale owa prawda dotyczyła całej powodzi spraw, nic nie mających wspólnego z przedmiotem procesu, a owo kłamstwo było bezczelnym, łajdackim, w żywe oczy zmyślonym oszczerstwem, dotyczącym istoty sprawy.

Doboszyński był bohaterem procesu także i przed wojną. Był on sprawcą zbrojnej demonstracji, zwróconej przeciwko rządom sanacyjnym, znanej pod nazwą raidu na Myślenice. Nie będę jego demonstracji ani bronił, ani uzasadniał. Jestem osobiście zdania, że tego rodzaju lokalna rewolucja jest czynem anarchicznym i że jako środek choćby do najbardziej słusznego celu nie może być uznana za rzecz dopuszczalną. Jest jednak faktem, że raid Doboszyńskiego wstrząsnął Polską jak mało co w owej epoce i że sąd przysięgłych uwolnił Doboszyńskiego od winy i kary. Trzeba było dopiero skasowania w Polsce instytucji sądów przysięgłych, by można było uzyskać od sądu zwykłego wyrok, skazujący go na parę lat więzienia.

Doboszyński wsławił się głównie swoim zajazdem na Myślenice, oraz swoimi dwoma wielkimi procesami. Był także dość głośny jako działacz polityczny, jako jeden z najwybitniejszych organizatorów i przywódców Stronnictwa Narodowego w Krakowskim. Ale wydaje mi się, że jego najgłębszą wartością i najbardziej zasłużonym i trwałym tytułem do sławy było to, że był to — katolicki ekonomista.

Na sporo lat przed wojną ogłosił on w Polsce obszerną, w treści rewolucjonizującą ustalone pojęcia ekonomiczne książkę pt. „Gospodarka narodowa". W czasie wojny wydał ją w przeróbce angielskiej pt. „Economy of Charity". Wydał także — w Monachium po wojnie, jako część składową książki pt. „Studia polityczne" — cykl dalszych rozważań ekonomicznych. Przyswoił również językowi polskiemu książkę katolickiego ekonomisty angielskiego, Hoilisa, pt. „Kryzys pieniądza", którą w przekładzie Doboszyńskiego wydał w Londynie Katolicki Fundusz Wydawniczy. Doboszyński stał, nawiasem mówiąc, bardzo blisko katolickiej grupy ekonomistów angielskich, wyrosłej w otoczeniu Chestertona. Bywał w Anglii w okresie międzywojennym i w kołach chestertonowskich, w owym czasie wyraźnie się jeszcze rysujących jako odrębny i żywotny prąd, miał duże stosunki. Bardzo dobrze się orientował w sprawach angielskich — i w szczególności posiadał głęboką i przenikliwą znajomość roli masonerii w świecie anglosaskim.

Poglądy ekonomiczne Doboszyńskiego polegały na tezie, że świat musi w dużym stopniu powrócić do pojęć ekonomicznych średniowiecznych i odwrócić się od zasadniczego zrębu filozofii ekonomicznej i ustroju ekonomicznego ostatnich paru stuleci. Krótko mówiąc — musi się wyzwolić z wszechwładzy nowoczesnego materializmu. Jedną z tez Doboszyńskiego było twierdzenie, że nowoczesne pojęcie procentów od kapitału jest zupełnie błędne, szkodliwe, destrukcyjne i niemoralne, i że winno być odrzucone, a przynajmniej do gruntu zreformowane. I że średniowieczne zakazy Kościoła, dotyczące „lichwy", były w zasadniczym zrębie słuszne i nie straciły aktualności i dzisiaj.

W ubogiej Polsce, której ekonomiści zapatrzeni byli jak w słońce w bogate przemysłowo społeczeństwa Zachodu, poglądy takie wydawały się absurdalnym dziwactwem. Pamiętam profesora ekonomii, członka tego samego stronnictwa, do którego należał Doboszyński, jak w pewnym przemówieniu krytykował „Gospodarkę narodową" Doboszyńskiego, wywodząc, że jego poglądy o procentach są w dzisiejszych czasach niemożliwe do przyjęcia w życiu praktycznym, a nawet w teorii...

A jednak — dzisiaj, po dwudziestu latach, tu w Anglii, słyszeć czasem można głosy, które są jakby żywym odbiciem myśli Doboszyńskiego.

Właśnie leży przed mymi oczyma wydana przez dominikański ośrodek wydawniczy rozprawa J. F. L. Bray'a „The Financial Justice" (the Aquinas Society of London, Aquinas Paper No. 22, Londyn, Blackfriars, 1954, cena 2 szyl.).

Autor pisze: „Zasada odsetka składanego 5% prowadzi do tego, że jeśli pożyczyłem jedną świnię w roku 1900, to powinienem zwrócić 11½ świni w 1950, 131 świń w 2000, albo 17.000 świń w 2050. Czy to jest słuszne?

Jakże działała ta zasada — zasada 5% odsetka składanego — w dziewiętnastym wieku, w praktyce?"

Autor wywodzi, że całość brytyjskich inwestycyj kapitałowych za granicą wynosiła w roku 1854 200.000.000 funtów. W latach 1854-1913 import kapitałowy i towarowy brytyjski był w sumie wyższy od eksportu o 400.000.000 funtów. To znaczy, że w owych latach zagranica spłaciła Wielkiej Brytanii dwukrotną wartość swoich długów. Mimo to w roku 1913 zadłużenie zagranicy w Anglii wynosiło 3.763.000.000 funtów, a więc wzrosło osiemnastokrotnie. Wzrosło — dzięki procentom.

„Wyżej opisana praktyka nieograniczonego powiększania pretencji finansowych wobec zagranicy — pisze Bray — musiała prędzej czy później spowodować eksplozję. Jest wiele prawdy w poglądzie, że wojna 1914-1918 roku była jedną z takich eksplozji. Wygląda na to, że zachodni finansiści z lekcji tej nie skorzystali."

Katolicki autor kończy swą godną uwagi rozprawę następującymi słowami: „Gdyby niesprawiedliwości systemu kapitalistycznego stały się tak jaskrawe i wszechogarniające, że Kościół byłby zmuszony je potępić, obowiązek nasz byłby jasny. Wierzący katolicy musieliby wszyscy stać się rębaczami drzewa i nosicielami wody. Nie byłoby dla nich innej drogi do zbawienia swej duszy. Na razie jednak musimy się starać stać się najlepszymi znawcami naszego rzemiosła, najzdolniejszymi i najenergiczniejszymi dyrektorami, najprzedniejszymi i najlepiej poinformowanymi finansistami — nie z miłości zysku, lecz dla chwały Bożej".

Jakież to podobne w treści i postawie do „Gospodarki narodowej" Doboszyńskiego!

POLONUS

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ

KRAJOWE CZASOPISMA HUMANISTYCZNE

PAMIĘTNIK LITERACKI. Czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej, wydawane przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Rocz. XLIV, 1953, zesz. 2, str. 355 - 726.

(Redaktorem pisma jest obecnie prof. Tadeusz Mikulski z Uniw. Wrocławskiego. Zeszyt zawiera: K. Budzyk: Sprawa realizmu w literaturze na przykładzie „Krótkiej rozprawy" Reia; M. Zmigrodzka: Walka o realizm w estetyce i krytyce literackiej kraju w latach 1831 - 1848, cz. II; R. Brandwajn: Świętoszkowie i Świętoszek; S. Morawski: Poglądy estetyczne Tannera; S. Rospond: Problem genezy polskiego języka literackiego; J. Krzyżanowski: Mysz w gwiazdy policzona, czyli nieporozumienie filologiczno-astronomiczne (dotyczy „Fenomenów" Jana Kochanowskiego); M. Klimowicz: Nieznane wiersze Ign. Krasickiego (na marginesie przygotowań wyd. zbiorowego); R. Kaleta: Rozkład feudalizmu w Polsce w świetle nieznanej satyry bibliograficznej (dotyczy „Regestru książek znajdujących się w księgarni dubińskiej" odnalezionej w Ossolineum wśród papierów po Aug. Gorzeńskim, woj. poznańskim; J. Rudnicka: Ostatnie roczniki „Monitora" (1784 - 1785); St. Pigoń: Z kłopotów filologa. Historia jednej koniunktury (dotyczy cz. I „Dziadów"); recenzje; kronika; korespondencja).

P. 707

PRZEGLĄD GEOGRAFICZNY. Wyd. Polskie Towarzystwo Geograficzne. Kwartalnik. T. XXV, 1953, zesz. 4, str. 112.

(Zawiera: K. Dziewoński: Studia geograficzne do planu regionalnego; Jerzy Kostrowicki: Problematyka małych miast w Polsce w związku z badaniami nad warunkami ich aktywizacji; notatki; recenzje; kronika).

P. 1995

PRZEGLĄD ZACHODNI, 1953, Nr. 6 - 8, str. (6), 499.

(Potrojny zeszyt „Przeglądu Zachodniego" nosi podtytuł: „Studia poznańskie ku uczczeniu 1000-lecia miasta i 700-lecia samorządu miejskiego" i jest właściwie księgą zbiorową, stanowiącą niezależną całość. Rzecz ukazała się pod redakcją Mieczysława Sucnockiego i Zygm. Wojciechowskiego i zawiera prace następujące: Z. Wojciechowski: Początki Poznania na tle początku miast w Polsce; W. Hensel: Poznań w starożytności i we wczesnym średniowieczu; St. Zajchowska: Rozwój sieci osadniczej okolic Poznania (XI - XX w.); Z. Kaczmarczyk: Przywilej lokacyjny dla Poznania z r. 1253; M. Szymańska: Wójtostwo poznańskie 1253 - 1386; St. Weymann: Ze studiów nad zagadnieniem dróg w Wielkopolsce od X do XVIII w.; Z. Zieliński: Rozwój terytorium miasta oraz zabudowy Starego Rynku w Poznaniu; B. Zakrzewski: Z dziejów walki o ideologię demokratyczną w Poznaniu w latach 1830-1850; W. Jakobczyk: Z dziejów ruchu robotniczego w Poznaniu; K. M. Pospieszalski: Poznań w czasie okupacji 1939 - 1945; Z. Grot: Oswobodzenie Poznania w r. 1945; J. Ziółkowski: Elementy rozwoju Poznania w Polsce Ludowej; E. Linette: Zabytek wczesnogotyckiego budownictwa w Poznaniu (Kościół Dominikański); Z. Raszewski: Najdawniejsza sala teatralna w Poznaniu; H. Kowalenko: Z dziejów Teatru Polskiego w Poznaniu).

TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE, WYDZIAŁ JĘZYKOZNAWSTWA I HISTORII LITERATURY.

Rozprawy Komisji Orientalistycznej. Nr. 4.

Warszawa, Towarzystwo Naukowe Warszawskie, 1951 (druk ukończono w r. 1953), 24.5x17.5 cm., str. 154, (1).

(Trzy pierwsze zeszyty „Rozpraw" ukazały się przed r. 1939 pod red. prof. Stanisława Schayera i są obecnie rzadkością, gdyż nakład wydawnictw Komisji spłonął we wrześniu 1939 r. w Instytucie Orientalistycznym na Królewskiej w Warszawie. Tom obecny ukazał się pod red. Ananiasza Zajączkowskiego i Zygm. Rysiewicza. Obejmuje m.i. pracę Ananiasza Zajączkowskiego: „Charakterystyka Turków w świetle piśmiennictwa arabskiego w średniowieczu (VIII - XI w.)" oraz studia językoznawcze Pawła Nowickiego, Jerzego Kuryłowicza, Olgierda Wojtasiewicza, Janusza Chmielewskiego, Rudolfa Ranoszka i Zygm. Rysiewicza).

P. 1997

DO ODSTĄPIENIA — przez jednego z czytelników ŻYCIA dawne roczniki krakowskiego „Tygodnika Powszechnego (jeszcze katolickiego): 1949 rocznik — cały komplet, 1950 (brak num. 28), 1951 (brak num. 36, 37, 49), 1952 (brak num. 3, 4, 5, 6, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 18, 20, 21, 22, 23, 24, 25). Zgłaszać się do Księgarni „Veritas" — 12, Praed Mews, London, W.2.

KSIĄŻKI

CZYTAJĄC SCHACHTA

W siedemdziesiątym siódmym roku życia, wybitny finansista i ekonomista niemiecki, Prezes Banku Rzeszy, Minister Gospodarki, później oponent Hitlera, wreszcie jeden z oskarżonych w procesie Norymberskim, Hjalmar Schacht wydał swoje pamiętniki.*) Schacht pisywał w ciągu swego życia wiele o zagadnieniach ekonomicznych; ostatnio napisał książkę o sobie, autobiografię od dzieciństwa do starości. Jest to tom imponujący. Ma 689 stronic, z wielką ilością fotografii, zawiera wiele ciekawych informacyj o polityce międzynarodowej i o sferach rządzących w Niemczech i w innych krajach. Nie mniej jednak interesującą jest w nim sama osoba autora, taka jaką on ją przedstawia i jaka się wyłania z żywego monologu tego retrospektywnego pamiętnika.

Naród niemiecki dał ludzkości wielu uczonych, literatów, filozofów i artystów: Kanta, Goethe'go, Beethovena. Obok tych genialnych postaci, reprezentujących wartości ogólnoludzkie, i licznej plejady ich synów duchowych, znamy dwa główne rodzaje Germanów: Niemiec-wojownik-zdobywca, i Niemiec, który może być określony jako Niemiec gospodarczy. Wrodzone rasie zamiłowanie do pracy, do porządku, do hierarchii, przekonanie, że osiągnięcia materialne są świadectwem dobrze spełnionego obowiązku wobec gromady — wszystkie te zalety społeczne i rodzinne „cywilnego" Niemca, rozwinęły się w całej pełni w „Reichu", zbudowanym przez Bismarcka, a rządzonym głównie przez warstwę średnią, zamożną burżuazję i wytrawną biurokrację. Niemcy na przełomie wieku stanęły na szczycie rozwoju ekonomicznego; ich ekspansja na zewnątrz i dobrobyt w kraju, oparte były na sprawnej organizacji gospodarki narodowej, oraz na należytym wykorzystaniu wszystkich sił socjalnych i walorów pracy. Hjalmar Schacht jest niewątpliwie najbardziej reprezentacyjnym synem tej epoki. Takim go widzimy od pierwszej do ostatniej stronicy jego pamiętnika, z którego wieje patriotyczne przeświadczenie o słuszności sprawy narodowej i równowaga pomiędzy moralnym światopoglądem a praktyczną działalnością. — Nie ulega wątpliwości, że na tę równowagę składało się również dużo hipokryzji i megalomanii, lecz zacierają się one w bezmiarach wiary w przeznaczenie własne i narodowe. Jako „motto" swej książki dał Schacht własny wierszyk: „Siła ani pieniądz — nie budują świata, duchowa moc i moralne postępowanie posuwa go naprzód".

Gdy wybuchła I wojna światowa, Hjalmar Schacht, zajmując już wybitne stanowisko w świecie bankowym, wchodzi na arenę życia państwowego i w roku 1918-ym odgrywa już pierwszorzędną rolę. Od tej daty pamiętnik jego obraca się w koło zagadnień wybitnie politycznych. Opis wydarzeń przeplata się w nim wielką ilością epizodów anegdotycznych, czasem zabawnych, a zawsze charakterystycznych; Schacht pisze o stosunkach swoich z różnymi znanymi osobistościami. Nie ma oczywiście możności streścić takiego wielkiego tomu; wskazać tylko można na kilka specjalnie interesujących w nim rozdziałów.

Rok 1923-ci był w życiu Schachta przełomowym. W Niemczech szaleje inflacja: w listopadzie kurs marki papierowej jest 12 bilionów za dolara. Schacht zostaje powołany na stanowisko Komisarza Rządu do spraw walutowych, a wkrótce potem zostaje Prezesem Banku Rzeszy. Wypowiada wojnę inflacji: zaczyna od stabilizacji marki podług kursu 4,2 biliony za dolara; opanowuje spekulację walutową. Wreszcie — i to jest zapewne największy sukces w jego karierze — pozyskuje zaufanie i sympatię potężnego Gubernatora Banku Anglii, Montagu Normana, otrzymuje od niego niezbędne kredyty i poparcie dla założenia Banku Dyskontowego dla operacyj w złocie (Gold Diskontobank), który zapewni stabilizację „Reichsmarki" i umożliwi rozwój eksportu. Schacht stwierdza, że tymi posunięciami zadał też śmiertelny cios „separatystycznym" projektom finansjery nadreńskiej, która oglądała się za możliwością oparcia się o współpracę z kapitałem francuskim. Szereg dalszych rozdziałów wypełnia historia walki Niemiec przeciwko odszkodowaniom wojennym i w szczególności roli, jaką Schacht osobiście odegrał w uwolnieniu Niemiec od zobowiązań odszkodowaniowych... Z punktu widzenia niemieckiego, oddał on w tym względzie rzeczywiście wielkie usługi swej ojczyźnie.

Zanotować tu można charakterystyczne opowiadanie o spotkaniu z Poincaré, którego Schacht uważał za zdecydowanego nieprzyjaciela Niemiec. — Gdy w czasie rokowań w Paryżu, Schacht bardzo niechętnie zdecydował się złożyć wizytę Poincaré'mu, ten przepraszając, że jest bardzo zajęty, przez dłuższą chwilę go nie przyjmował; butny prezes Reichsbanku zapałał gniewem i ostentacyjnie opuścił poczekalnię francuskiego premiera; nazajutrz w Paryżu powtarzano sobie rzekomo, że „pan Schacht nie może czekać". — Ostatecznie, ułożono jednak inną datę spotkania, lecz rozmowa odbyła się w dość kwaśnej atmosferze.

Po dojściu do władzy Hitlera, Schacht zostaje ponownie dyrektorem Banku Rzeszy, a w rok później również ministrem gospodarki. Chodziło o wydźwignięcie ekonomii III-go Reichu na poziom odpowiadający potrzebom kraju, rzuconego na tory socjalnej przebudowy, ekspansji i zbrojeń; należało zatrudnić 6 milionów bezrobotnych i zapewnić rynki zbytu dla przemysłu. Schacht wywiązuje się z wielkim powodzeniem z powierzonego mu zadania. Prowadzi śmiałą, nowatorską politykę finansową i rozbudowuje system bilateralnych układów handlowych. Pracuje jednak w warunkach trudnych, gdyż przywódcy narodowego socjalizmu są do niego wrogo ustosunkowani, widząc w nim przedstawiciela tradycyj okresu Bismarcka, człowieka niezależnego, przeciwnika ich samowoli i światoburczych planów. Przez pewien czas chroni go jednak osobiste zaufanie Hitlera, który, przynajmniej początkowo, należycie doceniał dodatnie rezultaty działalności swego ministra gospodarki. Zdając sobie sprawę po jak niebezpiecznej pochyłości toczy się zaślepiona polityka nazistowska, Schacht składa Hitlerowi (w maju 1935 roku) memoriał, zawierający, choć podaną w oględnej formie, lecz bardzo stanowczą krytykę polityki narodowo-socjalistycznej. Wskazuje w tym memoriale na szkodliwość polityki antyreligijnej, prześladowań Żydów i terroru Gestapo. W sierpniu tegoż roku, w przemowieniu w Królewcu, daje publicznie wyraz tym swoim poglądom i obawom, co wywołuje burzę w kołach nazistowskich. Schacht podkreśla, że stale i bez ogródek przestrzegał Hitlera i jego współpracowników przed polityką, która cały świat mobilizuje przeciw Niemcom, a także przed przesadnymi wydatkami na zbrojenia i zapędami wojennymi. Oświadczył on „Führer'owi": „Dwie rzeczy mogą doprowadzić do upadku narodowego socjalizmu — wojna i inflacja". Walka z obłędem nazistowskim była jednak beznadziejna. W 1937 roku Göring obejmuje po Schachcie stanowisko ministra gospodarki. Wchodząc do gabinetu, w którym Schacht zwykł był pracować, Göring miał zauważyć: „Jak można mieć wielkie myśli w tak małym pokoju!" Po czym połączył się telefonicznie z Schachtem, który jeszcze nadal urzędował w Reichsbanku, i tryumfująco zakomunikował: „Panie Schacht, ja siedzę teraz na pańskim krześle!" „Byleś się z niego nie wywrócił, pomyślałem i położyłem słuchawkę" — notuje Schacht. Po burzliwej rozmowie z Hitlerem w styczniu 1939 roku, Schacht zostaje zwolniony ze stanowiska prezesa Banku Rzeszy; pozostaje jednak jeszcze do 1943 roku w rządzie, jako minister bez teki, no i bez wpływów. Zaznacza nadal, w czasie wojny, swe opozycyjne stanowisko, aż wreszcie w kwietniu 1944 roku zostaje aresztowany przez Gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Ravensbrück'u, a potem przebywa w różnych obozach i więzieniach do końca wojny.

Schacht spodziewał się, że zwycięscy alianci pozostawią go na wolności. Jednak stało się inaczej. Jako wybitny minister w rządach hitlerowskich, został on postawiony w stan oskarżenia, wraz z innymi dygnitarzami wojskowymi i cywilnymi niemieckimi, przed Alianckim Trybunałem w Norymberdze. Uniewinniony przez ten trybunał, był jeszcze dwukrotnie sądzony przez sądy niemieckie, tak że wyszedł z więzienia dopiero w 1948-ym roku. Miał wtedy lat 70 i jak stwierdza — całego majątku dwie marki w kieszeni. Wydobywa się jednak wkrótce z trudnej sytuacji. Pocieszając się, że „życie zaczyna się od siedemdziesiątki", udaje się, jako ekspert w sprawach finansowych i ekonomicznych, w długą podróż do krajów Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Wraca następnie do Niemiec i pisze „76 lat mego życia". — Pamiętniki te stanowią obronę całokształtu działalności Schachta. Pod tym względem charakterystyczne są obszerne rozdziały poświęcone rozprawom procesu norymbergskiego. Broniąc się, Schacht nie szczędzi sobie pochwał, co dało powód do oceniania go jako megalomana. Jednak przyznać trzeba, że, po przeczytaniu tych pamiętników, pozostaje się pod wrażeniem, że napisał je człowiek, choć nie pozbawiony przywar typowego Niemca, lecz rozumny, pełen niespożytej energii i odwagi cywilnej, jasno oceniający rozwój wypadków.

O Polsce niewiele znajdujemy w tych pamiętnikach. Zasługuje jednak na uwagę zamieszczone w nich stwierdzenie, że Hitler od dłuższego czasu był całkowicie zdecydowany na wojnę z Polską i dążył do niej świadomie, a że generalicja obawiała się konfliktu europejskiego, uspakajał ją zapewnieniami, że Zachód nie wystąpi w obronie Polski.

F. Frankowski

*) „76 Jahre meines Leben". (Kindler und Schiermayer Verlag, Bad Wörzhofen).

OKAZJA!

STEFAN ŻEROMSKI

POPIOŁY

3 tomy

Str. 912 — Ilustr. — Cena 16/- i 1/- za opak i przes.

Katolicki Ośrodek Wydawn. „Veritas"

12, Praed Mews, London, W.2

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ

PIEŚŃ IDĄCYCH DO WINNICY

W ogrodach taśm kolorowych
i elektrycznych cymbałów
namiotów nie rozbijajmy,
bo puste jest życie
pod kopułami uciechy
a droga daleka;

pozwólmy stopom odejść
od okien bezmyślnych
i od głupich progów,
pozwólmy sercu wspiąć się
ponad kukły pożądań,
bo czas jest rzeką;

ku morzom jej płynąć,
tylko ku morzom,
lustrom duszy szalonej,
ku wiecznym falom
mocy i spokoju.

Choć strome jest zbocze,
śpieszmy się
ku miejscom pluszczącej ciszy,
by pieśni tam słuchać,
miniaturowych widoków
o pejzażach bez miary.

A kiedy spotkamy człowieka,
który zapyta — dokąd
i odpowie — za późno,
mówię wam przyjaciele:
nie smućmy się.

Zanieśmy dłoni próżność
do winnicy, choć wieczór
zczerwienił choryzont
i niebo połyskuje
ławicą gwiazd,
bo miłosierne są ręce,
których herbem
jest miłość,
bo czas jeszcze,
by zanieść naczynia
po napój na resztę dni.

Zygmunt Ławrynowicz

NOWOŚĆ TYGODNIA

TOM V SERII NIEBIESKIEJ BIBLIOTEKI POLSKIEJ

APOKRYFY

NOWEGO TESTAMENTU

Opracowali: Daniel Rops, F. Amiot

Przełożyła: Z. Romanowiczowa

Stron 248. Cena 15/-

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

oraz w polskich księgarniach.

DYSKUSJE

JESZCZE W SPRAWIE JĘZYKA MIĘDZYNARODOWEGO

Dyskusja, jaką zaszczycił mnie dr Marek Wajsblum, poszła trochę po liniach wichrowatych. Wywody mego oponenta, przekonanego — jak się okazuje — esperantysty, nie zawsze różnią się od moich, ale czasem albo się z nimi zgadzają albo zwalczają takie, jakich nigdy nie wypowiedziałem. Postaram się to wszystko trochę naprostować. Dlatego też to, co napiszę, nie będzie kontynuowaniem polemiki (bo co miałem do powiedzenia w sprawie języka międzynarodowego, powiedziałem w moich artykułach) tylko właśnie usunięciem nieporozumień, jakie się wkradły w dyskusję.

Nie zgadzam się z dr Wajsblumem w rzeczy zasadniczej, bo on jest zwolennikiem esperanta, a ja nie (to nam obu wolno); on uważa esperanto za język, a ja nie. Starając się podtrzymać tezę, że i „prawdziwe języki" bywają sztuczne, dr Wajsblum wskazuje na „sztuczność" języków węgierskiego, tureckiego i hebrajskiego; ale ta rzekoma analogia nie przekonała mnie, gdyż wszystkie trzy są językami organicznymi, esperanto zaś **urodziło się** sztuczne. Poza tym, idąc za zdrową wskazówką Sokratesa, który zalecał przed każdą dyskusją ściśle określić pojęcie rzeczy, stanowiącej jej przedmiot, musielibyśmy zacząć od ustalenia, co nazywamy językiem. Dopiero wtedy polemika miałaby mocne podstawy.

Podobnie zapatruję się na twierdzenie dra Wajsbluma, że esperanto jest w tym samym znaczeniu kosmopolityczne co łacina. Nie zgadzam się z tym i w artykule moim mimochodem przypisałem cechy kosmopolityzmu esperantu. Prawidłowa dyskusja winna się rozpocząć od określenia pojęcia kosmopolityzmu. Nie jest to zresztą istotą sprawy.

Ale dr Wajsblum przypisuje mi również poglądy, jakich jako żywo nie wyraziłem: „Dr Wieniewski wywodzi, że esperantyści są, ale nie ma esperanta". Nigdy tego nie wywodziłem. Esperanto jest, ale nie zasługuje moim zdaniem na nazwę języka. Główne jednak nieporozumienie leży w tym, że wynikałoby z artykułu dra Wajsbluma, jakobym ja uważał łacinę za zdolną odegrać dzisiaj rolę języka uniwersalnego. Tymczasem wyraźnie napisałem, że wbrew memu poglądowi sprzed wojny nie wierzę, by w obecnym układzie stosunków światowych można łacinę umiędzynarodowić; podobnie jak nie wydaje mi się możliwe przyjęcie **dzisiaj** przez wszystkie narody jednego języka powszechnego. Natomiast w dalszym ciągu uważam, że gdyby w przyszłości jakiś język miał zostać międzynarodowym, powinna nim być — jak ongiś — łacina.

Jeżeli chodzi o sprawę modernizacji łaciny, to tu — jak wynika z moich artykułów — w niejednym punkcie zgadzam się z dr. Wajsblumem. Tak jest: dla wyrażenia pojęć i przedmiotów nowoczesnych „nie można bawić się w najbardziej choćby pomysłowe peryfrazy"; trzeba pójść śladem latynistów średniowiecznych i włączyć w język klasyczny odpowiedni zasób odpowiednich terminów (zwykle pochodzenia łacińskiego lub greckiego); słownictwo to winno „być troskliwie zaplanowane i ujednostajnione przez jakąś instytucję międzynarodową", przy czym „trzeba będzie celowo i jednolicie zaplanować metody wcielania tych nowych elementów leksykalnych w gramatyczną strukturę języka klasycznego".

To wszystko święta prawda. Rozchodzimy się z dr Wajsblumem dopiero z chwilą, gdy on utrzymuje, że owa „przebudowa" (ja bym powiedział: uzupełnienie słownictwa) łaciny musiałaby objąć „w znacznej mierze również jej strukturę gramatyczną". Tu już zaczęłaby się barbaryzacja, wejście na tor łaciny kuchennej. Byłoby to i niewskazane i niepotrzebne. Około tysiąca lat dzieliło epokę Renesansu do łaciny Rzymian, a mimo to łacina renesansowa, będąc żywą mową międzynarodową, odznaczała się klasyczną czystością — właśnie dlatego, że zachowała klasyczną gramatykę, a w szczególności składnię oraz styl.

Wiem, że nie przekonam ani dra Wajsbluma ani żadnego innego esperantysty. Ale nie o to mi też chodziło. Celem moich artykułów było przedstawienie całego trudnego zagadnienia języka międzynarodowego w sposób możliwie bezstronny i bez apriorycznych założeń, opartych na skłonnościach uczuciowych. Dałem tego dowód moim sceptycznym stosunkiem do sprawy umiędzynarodowienia łaciny, mimo że jestem filologiem-klasykiem, a przed wojną byłem członkiem zarządu towarzystwa, propagującego tę ideę. Nie sądzę, bym miał coś ważnego do dodania na ten temat i dlatego ze swojej strony zamykam dyskusję.

Ignacy Wieniewski

LISTY PARYSKIE

W ŚRODKU SEZONU

Paryż, w lutym 1955.

Łuk Tryumfalny w sercu Paryża to symbol tego, czym jest Paryż w Europie. Tak bowiem, jak na placu Etoile ku napoleońskiemu pomnikowi chwały Francji biegnie i krzyżuje się tu dwanaście arterii ruchu wszystkich okręgów stolicy, tak też zbiegają się w Paryżu prądy kulturalne całej Europy. Myślałby kto, że różne narody biegną tu głównie po wzory mód i ostatnie krzyki elegancji. Owszem, przybywają i po mody, ale o wiele ciekawsze są krzyżujące się w Paryżu wszelkie wysiłki artystyczne, demonstrowane tu dziś nawet — zza żelaznej kurtyny! Oczywiście, rządcy czerwonego świata dający rozkazy z Moskwy tylu podbitym narodom wiedzą, w jakim celu wysyłają do Paryża różne reprezentacyjne trupy artystów teatru, tańca, muzyki i śpiewu. Po teatrach reprezentacyjnych ubiegłego roku i po „Mazowszu", zjawiają się obecnie orkiestry rumuńskie i balet węgierski. Ukazują się też pięknie ilustrowane wydawnictwa w języku francuskim, jak np. album Czechosłowacji „uwolnionej" przez armię czerwoną. Jest to oczywiście rzucanie piasku w oczy naiwnym inteligentom na Zachodzie. Te bowiem gesty mają przekonać cudzoziemców o wysokiej kulturze narodów sowieckich i tych satelickich, które się obowiązkowo na kulturze sowieckiej wzorują. Te gesty mają powiedzieć narodom Zachodu, że mogą i powinny żyć z Rosją i jej satelitami, jak równi z równymi w tak zwanej w najnowszym języku politycznym „koegzystencji". Ale zejdźmy z tej niemiłej ścieżki propagandy i daremnych rozważań o naiwności ludzi na Zachodzie, wierzących w kłamliwe sugestie i cieszących się z nowej fazy „koegzystencji" z komunistami.

Wróćmy pod Łuk Tryumfalny sztuk pięknych roztaczających swe dzieła i pokazy w sercu tak skłopotanej dziś Francji, dotkniętej na dodatkę dotkliwą klęską powodzi, która według dotychczasowych obliczeń zalała 314.000 hektarów powierzchni kraju, 43.000 budynków i spowodowała ewakuację 51.000 mieszkańców. Ale, co jest godne podkreślenia, wywołała też piękne dowody solidarności i niesienia pomocy powodzianom i to we wszystkich warstwach społeczeństwa. Jest to typowa cecha Francuzów. Kłócą się wiecznie, ale w nieszczęściu stają jak jeden mąż zgodni. Inny przykład: w ciągu dwudziestu dni dziennik „Le Figaro" sam zebrał przeszło 34 miliony franków na pomoc dla uchodźców z Viet-Namu.

Najpierw parę słów o teatrze. Zszedł właśnie z afisza ciekawy dramat religijny „Port Royal" Henryka de Montherlana. Sztuka to była nad wyraz trudna, gdyż rozgrywała się wyłącznie w gronie zakonnic z jednym jedynym mężczyzną, arcybiskupem Paryża. Wymaga on posłuszeństwa od zakonnic broniących z uporem bohaterskim tezy swych duchowych przywódców z Port Royal. Akcji więc właściwej zupełnie nie ma, gdyż szereg monologów i dialogów — to nie jest akcja w scenicznym znaczeniu; akcja leży w świecie ducha. Ze publiczność paryska i krytyka wytrzymała przez dłuższy czas tego rodzaju eksperyment, dowodzi to, że nie sama intryga stanowi dramat w tej sztuce, oraz że publiczność żywo przejmuje się samym problemem dyskutowanym na scenie. Oczywiście, wymaga to wysokiego poziomu kultury umysłowej od widzów-słuchaczy.

Podobny eksperyment pojawia się nie po raz pierwszy. Wszak „Krzyżtoł Kolumb" Claudela wymagał podobnej cierpliwości od widza, owszem większej nawet wobec rozdwojenia postaci bohatera, granej przez dwu aktorów, reprezentujących dwa stadia jego duchowej walki, wskutek czego wcale nie dało było sens sztuki uchwycić.

Wzmianka o Claudelu*) każe nam zanotować bardzo ciekawą, zwłaszcza dla katolików, dyskusję wszczętą przezeń w prasie w sprawie „mszy św. odwróconej", tj. odprawianej przez kapłana twarzą do wiernych zwróconego. Claudel bronił tymczasowej formy, według której kapłan stał twarzą zwrócony do ołtarza, więc do Boga, jako przewodnik modlących się poza nim wiernych. Jego zdaniem, forma ta dawała więcej poczucia tajemniczości w czasie aktu transsubstancjacji, niż przy mszy „odwróconej", w której kapłan, niby zaklinacz czarnoksiężnik, na oczach wiernych dokonuje cudu przemienienia chleba i wina w Ciało i Krew Chrystusa Pana. Podniosła się na ten temat w prasie dyskusja, w której zabrali głos i księża, stwierdzając, że Claudel się mylił, że jest to innowacja; przeciwnie, według najstarszej liturgii, kapłan odprawiał mszę twarzą zwrócony ku wiernym i tak też do dziś dnia mszę pontyfikalną pod kopułą Św. Piotra w Rzymie odprawia każdy papież.

Jest to jednak rzecz znamienna, że pisarze katoliccy, choćby właśnie dwaj wymienieni, oraz François Mauriac często poruszają w prasie świeckiej, codziennej, zagadnienia religijne, oraz dotyczące tradycji i kultu. Dzienniki chętnie udzielają im głosu czując, że wielka liczba czytelników podobnymi dyskusjami jest mocno zainteresowana. Dowodzi to nawrotu do zagadnień religijnych w szerokich warstwach społeczeństwa francuskiego. Katolicy praktykujący mogą to stwierdzić jeszcze wyraźniej, obserwując choćby te wielkie masy wiernych przystępujących każdej niedzieli do św. sakramentów. Wybitny pisarz katolicki, członek Akademii Francuskiej i laureat Nobla, François Mauriac, rywalizuje z powodzeniem w radio i na ekranie z twórczością operującą śliskimi tematami, w których miłostki i rewolwer są najczęstszymi motywami. Własnie wyświetlany jest w jednym z największych kin na bulwarach film Mauriaca „Le Pain Vivant" (Chleb Żywy), w którym dwoje młodych: niewierzący i wierząca, poprzez miłość dochodzą do wspólnej wiary i do Boga.

Natomiast znane lewicowe elementy usiłują ożywić zainteresowanie sztuką rosyjską. Więc znakomita para aktorów i reżyserów zarazem Jean-Louis Barreau i Madelaine Renaud odgrzewają „Wiśniowy sad" Czechowa, a radio nadało właśnie dyskusję nad tą sztuką. Znany i znakomity aktor komunista Jean Vilar był niedawno w Polsce, ale o rządach komunistów niczego nie chciał powiedzieć reporterom; wyszedł obronną ręką z ognia ich pytań twierdząc przezornie, że każdy ustrój ma swe dobre i złe strony. W tych dniach otrzymał on nagrodę państwową (biust Molière) za znakomitą grę, ale równocześnie krytyk czołowy w „Le Figaro" niezmiernie ujemnie ocenił jego kreację Makbeta, świeżo w Paryżu wystawionego w jego interpretacji. Vilar wybiera się ponownie za żelazną kurtynę. Pewnie się więcej nie dowie, co się tam dzieje, ale będzie może lepiej nauczony przez politruków co ma za granicą o cudach kultury sowieckiej opowiadać. Warto będzie to zestawić z wywiadem, jakiego udzielił niedawno eks-komunista włoski i znakomity pisarz Ignazio Silone, do głębi rozczarowany załamaniem komunistów i ich zupełnym krępowaniem i uśmiercaniem wszelkiej wolnej sztuki.

Na polu literatury wprost nie podobna ogarnąć uwagą tego szerokiego nurtu dzień w dzień wychodzących książek, powieści, pamiętników i studiów ukazujących oblicze dawnych pisarzy. Ograniczmy się tedy do autorów nagrodzonych. Na miejsce zmarłej w ubiegłym roku powieściopisarki Colette, wybrany został do Akademii Goncourtów Jean Giono, piewca ziemi i życia wsi południowej Francji, zamieszkały w Manosque pod Marsylią. Nagrodę miasta Paryża otrzymał Jean Guehenno, autor biografii J. J. Rousseau, obrońca Murzynów i biograf artysty pochodzenia polskiego, Żyda francuskiego, Simon Mondzin'a (Mondszajna). Francja, a głównie Paryż, obchodzi setną rocznicę tragicznej śmierci znakomitego poety romantycznego Gerarda de Nerval'a (1808-1855). (Wznawia się zainteresowanie jego poezją, podobnie jak roku ubiegłego odżył kult młodego włóczęgi, przyjaciela Verlain'a, Artura Rimbaud'a, genialnie uzdolnionego, który nagle zarzuciwszy poezję, stał się kupcem wśród kolorowych ludów, przeszedł na mahometanizm wrócił do Francji tylko po to, aby tu umrzeć w szpitalu.) Nerval dał się poznać jako jeden z najzdolniejszych poetów romantycznych, wystąpiwszy z tomem poezji „Elegie narodowe"; zbliżony był do Berange'a i i znanego nam Polakom Casimira Delazarigne'a, i do wielu wybitnych pisarzy tej epoki. Wydał też znakomity przekład „Fausta" Goethego. Dziwak ten i włóczęga, miewał napady szału i w szale, ale i z nędzy, powiesił się na kracie przy ulicy de la Vielle Lanterne, tam, gdzie obecnie stoi teatr imienia Sary Bernard. Pełne życia i blasków Wschodu są jego „Voyages en Orient". Napisał też kilka sztuk dramatycznych i cykl sonetów „Chimères" znakomitych w formie, choć pełnych dziwacznych niedomówień; przez nie stał się Nerval poprzednikiem Baudelaire'a i Malarme'go. Ale i w prozie również pozostawił dużo pełnych elegancji i błyskotliwości utworów, m. in. „Les Filles de Feu", wśród których za perłę literatury francuskiej uchodzi jego nowela „Sylvia". Na jego cześć utworzono tego roku specjalną nagrodę literacką dla poetów. Przyznano ją poecie, z zawodu kamieniarzowi, którego specjalnością jest odnawianie starych katedr kamiennnych: nazywa się on Roger Michel i jest autorem tomu poezji pt. „Grandeur nature".

Ukazuje się też sporo studiów poświęconych dawnym sławom. I tak Maurice Chapelon wydał „Myśli i maksymy" wielkiego krytyka ubiegłego wieku, Sainte-Beuve'a. Niedawno zmarłej Colette poświęcił żywe studium wybitny krytyk i powieściopisarz Thierry Maulnier.

Nagrodę Stowarzyszenia Poetów przyznano tego roku 40-letniemu poecie Pierre Moussarie; nagrodę „Amitiés Françaises" otrzymał sławny poeta angielski T. S. Eliot; nagrodę Desbordes-Valmore poetka Henriette Chevallard-Filippi, wreszcie „grand prix" nadano doskonałej poetce Marie Noël, liczącej dziś siedemdziesiąt kilka lat. Skromna ta poetka ma liczne grono wielbicieli; a wśród nich było wielu żołnierzy z frontu pisujących do niej listy pełne uwielbienia, w czasie pierwszej wojny światowej.

Skoro o wielkich pisarzach zmarłych i ich jubileuszach mowa, nie podobna nie przypomnieć, że nie tylko Kraj i emigracja, ale i Francja będzie tego roku w listopadzie obchodzić stulecie śmierci Adama Mickiewicza. Oby tę uroczystość lepiej przygotowano, niż się to stało ze stuleciem ukazania się „Pana Tadeusza". Na razie wiadomo, że Polskie Towarzystwo Naukowe w Londynie przygotowuje wydanie „księgi pamiątkowej", na którą się złożą studia historyczno-literackie poświęcone poecie. Związek Pisarzy Polskich przygotowuje podobną księgę, o charakterze raczej literackim.

Józef Andrzej Teslar

***) W tymże numerze piszemy o śmierci Claudela w lutym 1955 roku.**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ŚMIERĆ PAWŁA CLAUDELA

W nocy z wtorku na środę 23 lutego zmarł Paul Claudel. Jego ostatnie słowa były: „Zostawcie mnie w spokoju .. nie boję się umierać".

W osobie sędziwego poety i dramaturga odszedł ostatni z grupy pisarzy francuskich, którzy zaważyli nad literaturą i poezją Francji i świata. Na nim wygasa „rasa olbrzymów" z początku naszego wieku, do których należeli Proust, Valéry, Gide, Maurras, Colette, a także Péguy i Apollinnaire, przedwcześnie zabrani przez pierwszą wojnę światową.

Parę dni temu zaledwie Komedia Francuska wystawiła ukochaną sztukę Claudela „Annonce faite à Marie" (Zwiastowanie Marii), owoc wielu przeróbek i „pięćdziesięciu lat cierpliwości", według słów samego poety. Premiera sztuki stała się okazją do pewnego rodzaju apoteozy sędziwego poety, konsekracją jego twórczości. Podobno trudy, związane z asystowaniem przy próbach (Claudel czynnie współpracował przy wystawianiu swoich sztuk i udzielał cennych wskazówek reżyserom i aktorom) przyśpieszyły jego koniec. W środę popielcową na fotel, w którym zwykł siadywać, narzucono czarną krepę.

Jak to zwykle bywa, śmierć Claudela wywołała zamęt i zdumienie — mimo patriarszego wieku, a może właśnie z powodu jego sędziwej i tak masywnej starości, nikt się nie spodziewał ujrzeć żałobnego tytułu w gazetach. Padło najstarsze i najtęższe drzewo w lesie literatury francuskiej. Nic też dziwnego, że przedstawiciele jej — jeden po drugim — usiłują na gorąco ująć, czym był Claudel — i czym jest dalej w swej sztuce.

François Mauriac podkreśla, że jedynym źródłem natchnienia „patriarchy" była rozmowa z Bogiem. Mówiąc o nim, używa biblijnych porównań. Był to poeta, który namioty swoje rozbijał na szczytach — na górze Tabor, albo raczej Synaj. „Nie znaczy to — pisze Mauriac — aby autor „Atłasowego trzewiczka" wzdragał się przed tajemnicą zła — ale, w twórczości Claudela, obecność Boga nigdy nie jest tak oczywista, jak wtedy, kiedy grzesznik z dna otchłani kieruje ku Niemu krzyk rozpaczy."

Paweł Claudel, jak jego święty imiennik z Tarsu, miał swoją drogę do Damaszku. Nawrócenie nastąpiło nagle w dniu Bożego Narodzenia w katedrze Notre Dame. Wspominając o tym, Mauriac przytacza słowa poety:

„O Boże mój, pomnę ciemności, w których trwaliśmy twarzą w twarz, Ty i ja, w owe mroczne popołudnia zimowe w Notre Dame, ja całkiem w dole, sam, oświecający oblicze wielkiego Chrystusa z brązu przy pomocy świeczki za dwadzieścia pięć centymów.

„Wszystko było wówczas przeciwko nam, ludzie, wiedza, rozum, a ja nie dawałem odpowiedzi.

„Jedyna wiara była we mnie i spoglądałem na Ciebie w milczeniu, jak człowiek, który wybrał przyjaciela."

Pierre Brisson, redaktor „Figara" przyrównuje twórczość Claudela do drzewa, co powoli obrasta w nowe warstwy drewna i korę. Drzewo to sękate i chropawe, zdatne na krokwie do wielkich budowli i na rusztowanie pod katedry. Pozorny chłód, wyrozumowanie — ale przecież głębokie wzruszenie bije ze słów Claudela, z tych słów, które mają powagę hymnów. W jego teatrze dialogi pomiędzy postaciami to recytacja litanii, a przecież, w najwyższych momentach, słowa jego są wcieleniem prostoty, prymitywem, sprowadzonym do najprostszego pierwiastka poezji.

„Jest to najwyższa fala poetyckiego morza od czasów Hugo z Guernesey" — powiedział o nim Thibaudet.

Jeszcze jeden fotel w Akademii Francuskiej pozostał więc opróżniony. Czyż nie będzie za obszerny dla tego, co po nim zajmie miejsce?

W środę popielcową, przed podniesieniem kurtyny na „Annonce faite à Marie", przed pustym krzesłem Claudela zakrytym krepą, wobec skupionej widowni, odczytano tekst, jakim Henri Mondor, także z Akademii Francuskiej, złożył, kilka tygodni temu, hołd wielkiemu poecie:

„Bez Claudela epoka nasza nie byłaby tym, czym chcielibyśmy, żeby się okazała. Ale wokoło geniusza, ci, którzy mają talent nie mało muszą się natrudzić, aby wydać się czymś więcej niż są i zbliżyć się we własnym mniemaniu do tego, czym on jest."

Tego samego dnia, na Mszy św. za artystów mających umrzeć w ciągu roku, która po raz dwudziesty dziewiąty została odprawiona według życzenia Willette, w kościele St. Germain l'Auxerrois, ojciec Requet wspomniał w czasie kazania świeżo zgasłego poetę. „Paul Claudel nie żyje, ale dzieło jego w sercach naszych budzi wielkie echo. Był on poetą chrześcijańskim i chrześcijaninem, który całe swoje życie przeżył w wierze w ciał zmartwychpowstanie, w wierze, że chociaż stworzenie jest grzeszne, to przecież Bóg stworzył je na podobieństwo swoje. Grzech to nasz własny skalał dzieło Stworzyciela. Wierząc w Boga, wiarą odzyskaną w wieku dojrzałym, Claudel wiedział, że w Chrystusie wszystko ma być odnowione."

Rząd francuski postanowił oddać hołd poecie urządzając mu uroczysty pogrzeb.

Z. R.

Na kilka godzin przed śmiercią Claudel, który był przytomny, otrzymał depeszę z błogosławieństwem Ojca św. Umarł z różańcem, darem Papieża, w rękach i z krzyżem na piersi, pamiątką misjonarza z Chin. Uroczystości żałobne, transmitowane przez telewizję francuską, odbyły się w katedrze Notre-Dame, gdzie też zwłoki zostały złożone w krypcie aż do czasu ich przewiezienia do majątku zmarłego w Brangues (Isère). „Osservatore Romano" we wspomnieniu pośmiertnym zaznacza, że na działalność zmarłego, nawrócenie w wieku młodzieńczym do życia szczerze katolickiego wywarło głęboki wpływ. Dziennik watykański podkreśliwszy, że śmierć Claudela jest stratą dla całej kultury katolickiej, w której przez tę śmierć zamilkła dusza dążąca stale do zdobycia Prawdy i piękna, cytuje na zakończenie słowa Piusa XII, wypowiedziane w czasie audycji wierszy claudelowskich w roku 1950, w obecności zmarłego autora: „Zdało się Nam, że w myśli i wspomnieniach szliśmy drogą duszy podbitej przez łaskę Chrystusową, duszy, która od dnia zdobycia jej trudziła się, zawsze gorąca, nigdy niezaspokojona, uciekając się przy pomocy nowych form, jakkolwiek nieraz były one zuchwałe, do wyrażenia się w swym śpiewie miłości, którą była przepełniona".

ZGON WIELKIEGO PRZYJACIELA POLAKÓW
Ś.P. PROF. PIOTRA SERGESCU

Przed Bożym Narodzeniem, 19 grudnia ub. r. zmarł nagle w Paryżu ś.p. prof. Piotr Sergescu, znany uczony rumuński, b. rektor Politechniki w Bukareszcie, laureat Instytutu Francuskiego, przewodniczący Rumuńskiego Instytutu Uniwersyteckiego w Paryżu, stały sekretarz Międzynarodowej Akademii Historii Nauki i redaktor wydawanej przez nią publikacji naukowej.

Wybitny patriota rumuński był prof. Sergescu prawdziwym autorytetem dla swoich rodaków i cieszył się specjalnym zaufaniem przebywającego na wygnaniu króla Michała. Katolik, ożeniony z Polką, znaną naszym Czytelnikom pisarką i esseistką Marią Kasterską, znał prof. Sergescu doskonale nasz język i naszą kulturę i był oddanym przyjacielem naszego narodu. Okazał to szczególnie po wrześniu 1939, gdy wbrew stanowisku wysługującego się Niemcom premiera Antonescu starał się jak największej ilości polskich studentów ułatwić studia. W tych też czasach dom państwa Sergescu był prawdziwą przystanią dla wielu polskich uchodźców z kraju, a zwłaszcza dla młodzieży.

W Paryżu zaś skromne, wypełnione książkami i obrazami mieszkanie państwa Sergescu, położone w dzielnicy łacińskiej, było miejscem, gdzie spotykało się wielu Rumunów, Polaków i Francuzów, nieraz o bardzo znanych nazwiskach, których łączyło umiłowanie wolności i tej kultury, która z wolności wyrasta, a której wybitnym przedstawicielem był gościnny gospodarz.

Listy do Redakcji

AUSTRIA

Szanowny Panie Redaktorze!

W rozpowszechnionym na emigracji „Zarysie dziejów narodu i państwa polskiego", Bronisława Stryszowskiego, jest takie zdanie:

„W pokoju brzeskim 9 lutego 1918 r. delegaci Niemiec i Austrii przyznali Ukrainie Podlasie i Chełmszczyznę, odrywając je w ten sposób od Królestwa Polskiego, a nadto w tajnej umowie z galicyjskimi Ukraińcami przyrzekli delegaci austriaccy odstąpienie Ukrainie Galicji Wschodniej (aż po San) oraz Bukowiny i utworzenie z nich osobnej prowincji ukraińskiej w ramach monarchii habsburskiej.

„W ten sposób dokonano w Brześciu nowego rozbioru Polski, odrywając od Królestwa Polskiego jego integralne części, ziemie drogie sercu Polaka, gdyż w okresie prześladowań unitów świadczyły one w męczeński sposób o swej polskości. Ten wiarołomny i zdradziecki pokój pozbawił państwa centralne, a zwłaszcza Austrię, resztek sympatii u Polaków i spowodował, że cały naród polski złożył swą nadzieję w zwycięstwie mocarstw zachodnich."

Z listu p. W. A. Chebdy, polemizującego z Polonusem, wynika, że austrofilizm nie wymarł całkowicie i w roku Pańskim 1955 są jeszcze jego zwolennicy. Nie potrzebuję brać w obronę Polonusa, bo on zna historię i obroni się sam. Chciałbym tu jednak wyrazić sąd o „dowodach", na jakie p. Chebda się powołuje. Zamiast przytoczyć choćby Srokowskiego „Historia N. K. N.", Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa", lub Seydy „Polska na przełomie dziejów", które omawiają różne aspekty polityki rosyjskiej wobec Polski, p. Chebda wybrał sobie Pobóg-Malinowskiego, którego „Najnowsza historia Polski" nie może być zaliczona ani do prac obiektywnych, ani naukowych. Jest to bowiem słabo napisana książka propagandowa, zawierająca sporo błędów i swoiście zestawionych tekstów. O jej wartości winny p. Chebdę przekonać choćby (biorę zapewne znane mu jako mieszkańcowi Małopolski sprawy) opinie wyrażane o tych Polakach, którzy nie chorowali na miłość do zaborcy austriackiego, że wymienię tu najbardziej znanego i niezwykle zasłużonego patriotę polskiego, Tadeusza Cieńskiego, któremu Pobóg-Malinowski stawia najbardziej krzywdzące zarzuty „zdrady narodowej". W świetle krytyki zarzucającej Pobóg-Malinowskiemu tendencyjne przykrawanie faktów historycznych i nieścisłe cytowanie tekstów (na co autor nie starał się odpowiedzieć), trudno uznać jego pracę za jakkolwiek „dowód" historyczny.

Dlatego opierając się na niej p. Chebda myli się uważając, że Austria pierwsza wycofała się z polityki zaborów i okazała życzliwość sprawie polskiej. N.K.N. powstał z inicjatywy polityków polskich (w tej liczbie i Tadeusza Cieńskiego, który potem Komitet opuścił zarzucając mu austrofilizm), a jak Austria traktowała legiony, jako zawiązek armii polskiej, świadczy przemianowanie ich na Polski Korpus Posiłkowy i internowanie części oficerów.

Z poważaniem

J. Płoski

LICENTIA POETICA

Szanowny Panie Redaktorze!

Tocząca się na łamach ŻYCIA dyskusja, jak daleko może sięgać licentia poetica (Jelonek contra Kossak), zahaczą trochę o mnie, więc, jeśli Szanowny Pan Redaktor nie pożałuje mi trochę miejsca, chciałbym w tej dyskusji nie tyle zabrać głos, ile dorzucić kilka uwag.

Dr. Jelonek kwestionuje prawo p. Kossak niedokładnego cytowania czy też oddawania myśli autora Żywotu Większego w jego opowiadaniu o objawieniu się biskupa Wisława.

P. Kossak broniąc się powiada, że opowiadanie o zjawieniu się bpa Wisława, będące legendą, nadaje się do dowolnego użytkowania przez pisarza, pod warunkiem, że nie „przeinaczy klimatu duchowego lub intencji pierwowzoru".

Przy tym p. Kossak raczy łaskawie twierdzić lub suponować, że w mej książce „Kanonizacja św. Stanisława..." całe widzenie powinienem był uważać za nic innego jak za legendę.

Przyznam się, że ta imputacja nie bardzo mi w smak. Dlaczego?

Samo słowo polskie „legenda — legienda" w użyciu powszednim nosi w sobie jakąś cechę, siłą której to, co jest podawane za legendę, uważa się za baśń lub podanie niepewne. Jednak słowo legenda genetycznie ma trochę inny sens i oznaczało w średniowieczu to, co powinno było być czytane, szczególnie w klasztorach; a tym były właśnie żywoty świętych; czy to już kanonizowanych, przynajmniej przez przeniesienie (translację), czy to takich, jakich spodziewano się kanonizować. Naturalnie, że treściowo takie czytania zawierały szczegóły prawdziwe i historyczne, jak i inne mniej autentyczne, a mające na celu wzbudzenie w słuchaczu myśli pobożnych i wzniosłych. Na przestrzeni wieków zapomniano o tym, że legendy zawierały prawdę, a zaczęto uważać je za coś niepewnego, jako podania, oczywiście osnute na tle religijnym. P. Kossak widocznie w tym drugim znaczeniu rozumie legendę i aplikuje ją opowiadaniu o zjawieniu się bpa Wisława. (Nb. „miles" przetłumaczyłem w swej książce przez „żołnierz". P. Kosak słowo „żołnierz" zaopatruje wykrzyknikiem, na znak niewłaściwości takiego tłumaczenia. Nie czuję się na siłach do prowadzenia dyskusji językoznawczych z Mistrzem języka polskiego, jakim jest p. Kossak, chciałbym jednak zwrócić uwagę, że jakkolwiek, oczywiście, „wojak" byłby może bardziej na miejscu, jednak „żołnierz" chyba nie jest aż tak niewłaściwym słowem, ażeby je zaopatrywać wykrzyknikiem! Żołnierz oznacza bowiem w języku polskim tego, który służy w wojsku, „wojak" oznacza raczej żołnierza bitnego, takiego, który często i dużo wojował; ściercia zawiera raczej pojęcie osiedlonego włódyki — a już na pewno nie można tego „miles" określić jako „rycerz", chyba że i w tym wypadku p. Kossak aplikuje licencję poetycką — a wtedy wolno! Podobnie, jak również wolno nadać mu imię Falisława, i uczynić bpa Wisława wujcem rycerza Falisława, jak też można pomnożyć ilość objawień, (zasadniczo, według Żywotu Większego, było jedno widzenie Wisława, po którym następuje wyzdrowienie trwające trzy tygodnie, potem ukazuje się już nie bp Wisław, ale „mąż siwizną okryty o szacunek budzącej postawie", po którym to widzeniu żołnierz-wojak wybiera się do Prandoty).

Właściwie nie ma się o co sprzeczać, poeta-pisarz ma swoje prawa, których my zwyczajni zjadacze chleba nie rozumiemy, albo nie chcemy zrozumieć, pragnąc nałożyć mu obowiązek nie tylko podawania pewnej treści w podziw budzącej formie, ale nadto podawania ścisłej prawdy historycznej.

Oczywiście nie wiem, w jaki sposób p. Kossak usprawiedliwi datę 1249 jako roku rozpoczęcia starań o kanonizację; nadto, gdyby te starania miały być wynikiem objawienia się bpa Wisława rycerzowi-żołnierzowi Felisławowi, cała sprawa istnienia procesu mogłaby nabrać istotnie charakteru legendy, czy baśni religijnej, gdyby nie historyczny fakt kanonizacji. Nadto wiadomo, że bp Prandota natychmiast po uzyskaniu stolicy biskupstwa Krakowa w 1243 r. rozpoczął swe rządy od dokonania tzw. przeniesienia, ale gdy się doda, że w „Zleceniu" bp Prandota wydaje się kompletnie nie orientować w sprawach swego męczeńskiego poprzednika, to czy można naprawdę twierdzi, że p. Kossak „nie przeinaczyła" nieco klimatu duchowego pierwowzoru? Naturalnie nie chodzi tu o zjawienie się bpa Wisława rycerzowi-żołnierzowi, czego osobiście nie poddawałem osądowi autentyczności lub nie (por. str. 177), podałem je za autorem Żywotu Większego; mogę jednak dadać, że to zjawienie nie jest umieszczone w zwoju krakowskim, zawierającym sądowy opis cudów, (jest tam natomiast widzenie Sulecha, szlachetnie urodzonego, więc nie żołnierza). Nie można jednak powiedzieć, że nie jest ono historycznie prawdziwe; raczej mając na uwadze rezerwę, z jaką Autor pisze Żywot Większy, powiedzieć wypada, że takie objawienie istotnie mogło być i to w takiej formie jak jest przez Autora Żywotu podane; a w takim wypadku określanie tego faktu jako „legendy" nie byłoby właściwe.

Chciałem nadto dodać, że jestem ogromnie zadowolony z tego, że p. Kossak podkreśliła charakter sądowy przewodu procesu kanonizacyjnego (por. str. 42), a nadto, że zgadza się ze mną przyjmując jako centrum rozwoju kultu początkowego św. Stanisława właśnie lud wiejski, (por. str. 167-175).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Ks. dr Jan Lisowski

NIEPOROZUMIENIE

Szanowny Panie Redaktorze!

Z listem moim w sprawie p. Polonusa zaszło nieporozumienie. Prosiłem Redakcję o nieogłaszanie go, ponieważ nie chciałem sprawić — może — przykrości wymienionemu powyżej autorowi. Natomiast nie przeszło mi przez myśl prosić o nieujawnianie mojego nazwiska.

Gdy więc, wbrew mej intencji, jasno wyrażonej, list mój ukazał się w numerze 8, śpieszę uzupełnić go swym podpisem i nazwiskiem, którego, jako żywo, nie zatajam.

Stefan Badeni

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKIEGO OŚRODKA WYDAWNICZEGO „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ PIELGRZYMKA DO JASNEJ GÓRY

WŁADYSŁAW REYMONT

TERMIN NADSYŁANIA PRZEDPŁATY w kwocie 8/6 (+6 d za przes.) UPŁYWA 31 MARCA. Po ukazaniu się książka kosztować będzie 15/-. PROSIMY NIE ZWLEKAĆ Z ZAMÓWIENIEM.

Czeki, przekazy pocztowe (P.O. i M.O.) na „VERITAS FOUNDATION".

FILM

KINEMIN — NOWY AKTOR FILMOWY

Niemałe poruszenie wywołał wśród miłośników teatru i filmu kukiełkowego nowy obraz filmowy, pokazywany ostatnio w trzystu amerykańskich kinoteatrach równocześnie, przeróbka znanej opery Humperdincka **„Jaś i Małgosia"**.

Filmowa prasa angielska sporo pisała o nim jeszcze przed premierą, która odbyła się niedawno w kinie „Tivoli". Twórca filmu — Michael Meyerberg nie był postacią nieznaną filmowym bywalcom. Rozpoczął on swą karierę przed siedemnastu laty współdziałając przy produkcji filmu „Ich stu a ona jedna". Potem stał się współpracownikiem Walta Disneya i razem z nim nakręcił „Fantazję", uroczy film, w którym, jak pamiętamy, maleńki Mickey Mouse, niesforny uczeń czarnoksiężnika ściska z wylaniem dłoń dyrygenta Stokowskiego, dziękując za artystyczne przeżycie. Po pracy nad „Fantazją" Myerberg doszedł do wniosku, że „techniczne ograniczenia filmu rysunkowego zbyt utrudniają pracę twórczą artysty" i wziął się na własną rękę do eksperymentowania. Stworzył kineminy.

Jeszcze przed kilkudziesięciu laty wielki reformator teatru Edward Gordon Craig zwrócił uwagę ludzi sztuki na marionety i możliwość zastąpienia tymi „idealnymi aktorami" żywych ludzi. Wówczas w teatrze — zdaniem Craiga — wszystko pokrywać się może idealnie z zamiarami twórcy widowiska, nic nie będzie przypadkowe. Słowa Craiga wziął sobie Myerberg do serca i począł tworzyć swoich „idealnych aktorów".

Piętnaście lat wytężonej pracy i różnych badań oraz ćwierć miliona funtów szterlingów włożonych w doświadczenia. I oto mamy kineminy. Mogliśmy im przyjrzeć się w czasie premiery „Jasia i Małgosi".

„Idealni aktorzy" Myerberga — to oczywiście lalki. Amerykański malarz i rzeźbiarz Sunners stworzył ich kształt zewnętrzny. Wewnętrzne „organizmy" małych aktorów zbudowane zostały przez Piotra Ianuzzi, byłego naczelnego inżyniera wielkiej firmy Sperry Gyroscope. Każda lalka kosztowała Myerberga 800 funtów szterlingów. Gdy Myerbergowi zwrócono uwagę na trudy i koszt produkcji, odpowiedział: „Ileż lat mego życia musiałbym stracić na to, by szukać po świecie idealnych odtwórców „Jasia i Małgosi", gdybym chciał pracować z żywymi ludźmi?". Nie można odmówić mu racji — jest „metoda w tym szaleństwie".

Jak domyśleć się łatwo — wiele spraw związanych z produkcją kineminów otoczonych jest ścisłą tajemnicą. Lalka kineminowa ulepiona jest z substancji chemicznej, przypominającej z wyglądu ciało człowieka, czy też zwierzęcia, jakie przedstawia. Prowadzona jest na odległość za pomocą elektrycznych impulsów — w „ciele" lalki bowiem znajduje się skomplikowana maszyneria składająca się z dźwigni, namagnetyzowanych części itp. Można się domyśleć, że przy poruszaniu lalek zastosowano najnowsze odkrycia z dziedziny radaru. Daleko odbiegliśmy od prostych, miłych kukiełek, pacynek, czy nawet marionetek. Nikt już nie porusza laleczki na patyku ani na sznurkach — stworzono malutkie, przedziwne roboty.

Kinemin jest trzy razy mniejszy niż normalna postać ludzka czy zwierzęca. Każdy ważniejszy aktor widowiska ma drugą głowę — (większą, niż osadzona na ciele), która służy do zbliżeń filmowych. Każdy z „idealnych artystów Meyrberga porusza swobodnie wargami, zmienia wyraz twarzy — wyrazić może prawie każdą emocję — a w dodatku biega, chodzi, tańczy wykonując szereg baletowych ruchów bardzo skomplikowanych. Kineminy ruszają nawet poszczególnymi palcami, co reżyser filmu wykorzystał bardzo zabawnie nadając kapitalną ekspresję pazurom czarownic. Jeśli chodzi o stronę ruchową filmu, Myerbergowi udało się stworzyć zupełnie nową konwencję, równie daleką od szorstkich ruchów marionetki i podskoków kukiełki jak i od bajecznej płynności ruchów w filmie rysunkowym. Ruchy kinemina przypominają raczej w sposób nieco groteskowy ruchy prawdziwego człowieka. Jest w tym i zwycięstwo i słabość tworów Myerberga — przyznam się szczerze, że najbardziej podobały mi się właśnie te partie filmu, w których ruchy lalek były mniej „naturalne", a bardziej wystylizowane, np. ostatnia roztańczona partia filmu, a zwłaszcza tryumfalny marsz odczarowanych dzieci.

Tyle o kineminach, jako o nowych lalkach, malutkich robotach. Teraz przyjrzyjmy się pierwszemu filmowi, w którym zadebiutowały. Historia Jasia i Małgosi przerobiona z bajki Grimma na scenariusz opery Humperdincka jest wszystkim znana od dzieciństwa i nie będę jej tutaj przytaczał. Warto tylko wspomnieć, że scenarzysta Padriac Colum przydzielił Jasiowi i Małgosi dwoje adiutantów w postaci gąski i przezabawnego niedźwiadka, które dzielą wszystkie przygody dzieci. Poza tym wszystkie tradycyjne elementy baśni są wiernie utrzymane, a piękna muzyka Humperdincka — znana melomanom całego świata — dodaje wiele uroku filmowi.

Kineminy wyszły obronną ręką. Postacie filmu są doskonałe — zwłaszcza starannie i z polotem wykonano głowy lalek. Dwie postacie baśni stanowią duże osiągnięcie Myerberga: czarownica i Małgosia. Małgosia jest tak zabawna, ma tyle prostoty i uroku, że bije o wiele długości wszystkie kreacje dziewczątek z filmów Disneya. Czarownica — „Rosina Rubylips", pojęta jako stara obłudnica, pełna śmiesznej kokieterii w swoich ruchach i minkach podlotka, jest czymś oryginalnym i świetnym. Gorszy trochę jest Jaś mówiący twardym amerykańskim akcentem, a zawodzi zupełnie chór aniołów czuwający nad snem dzieci, przypominający — niestety! — złą dewocyjną kartkę pocztową.

Poza chórem aniołów wszystkie lalki są bardzo dobre i dlatego może tym bardziej razi oprawa plastyczna [illegible], która nie wiele odeszła od tradycyjnych ilustracji książeczek dla dzieci. Kolor filmu (Technicolor) jest ostry, nieprzyjemny, nie daje żadnych baśniowych efektów. Trudno — przyzwyczailiśmy się już do wysokiego poziomu znakomitego plastyka Walta Disneya. Głosowa natomiast strona filmu jest bardzo dobra — czy to chodzi o orkiestrę i śpiewaków, czy też (z wyjątkiem, jak się rzekło, Jasia) o głosy aktorów. Anna Russel „mówiąca" czarownicę dopełnia znakomicie dowcipnie i interesująco pomyślaną postać wiedźmy.

Myerberg ma w najbliższym czasie pokazać nam nowe filmy. Pracuje w tej chwili nad „Lampą Aladyna", a w przyszłości zamierza założyć studio filmowe w Wielkiej Brytanii i nakręcić „Makbeta". Dekoracje i projekty lateksaktorów do tej szekspirowskiej sztuki ma skomponować Epstein. Może to być ciekawe osiągnięcie. Bo „idealny aktor-lalka" — bardziej jeszcze niż zwykły aktor-człowiek — potrzebuje doskonałego reżysera — a nade wszystko natchnionego plastyka. Jeśli nie będzie całości wizji plastycznej, najlepsze i najdoskonalsze lalki nie stworzą wielkiego widowiska, nie uratują obrazu przed niepamięcią.

St. Pal.

CZY PRENUMERUJESZ STALE KSIĄŻKI „BIBLIOTEKI POLSKIEJ"?

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam — £ 10.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. PRZEDSTAWICIELSTWA i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 65 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide, S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kulakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, oraz **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PADdington 9734